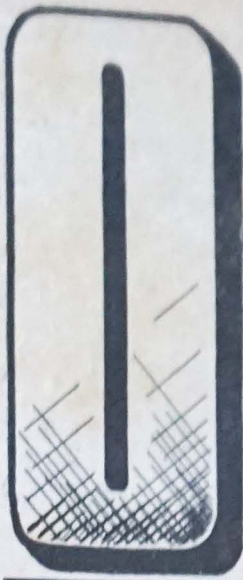
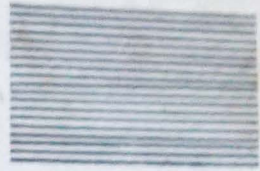


Chiac



Chotnicka



PISMO PSK

Rok II

Marzec 1944

Nr 6



„OCHOTNICZKĘ“ OD Nru 1—6 WYDAWAŁYŚMY W ZIEMI ŚWIĘTEJ
DRUKOWANA BYŁA W JEROZOLIMIE I TEL-AVIVIE

„Ochotniczka“ ukazuje się raz w miesiącu

Wydawca: *Inspektorat Główny P.S.K. w A.P.W.*
Redakcja: *Komitet Redakcyjny*
Redaktorka Naczelna *dr Herminia Naglerowa*

„Ochotniczkę“ nabywać można w Inspektoracie Gł. P.S.K.,
w oddziałach P.S.K., w kantynach oraz świetlicach

Drukarnia Gesher Press, Jerusalem



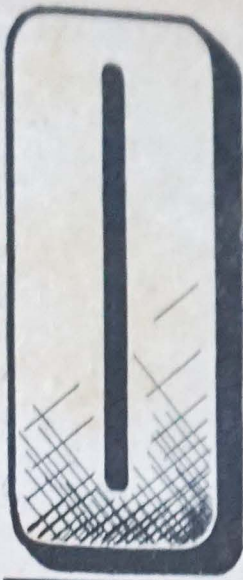
...NIE CHCEMY MIESZAĆ SIĘ DO ŻYCIA WEWNĘTRZ-
NEGO KTÓREGOKOLWIEK Z NASZYCH SĄSIADÓW,
LE CZ POZWOLIĆ NIE MOŻEMY, BY POD JAKIM-
KOLWIEK BĄDŹ POZOREM RZEKOMEGO DOBRO-
DZIEJSTWA NARUSZANO NASZE PRAWO DO SA-
MODZIELNEGO ŻYCIA.

NIE ODDAMY ANI PIĘDZI ZIEMI POLSKIEJ I NIE
POZWOLIMY, BY USZCZUPLANO NASZE GRANICE,
DO KTÓRYCH MAMY PRAWO

JÓZEF PIŁSUDSKI

(Z przemówienia Marszałka Józefa Piłsudskiego na otwarciu
Sejmu Ustawodawczego dnia 10 lutego 1919 r.)

Chiac



Chotnicka



PISMO PSK

Rok II

Marzec 1944

Nr 6



jestemy pokoleniem skazanym na pracę i pośpiech. Każda jednostka musi zdobyć się na wkład pracy równy działaniu kilku ludzi sprzed wojny. Wymagania te jednak zmuszają do czujności, by tak zorganizować życie społeczeństwa, aby ten wysiłek nie rujnował ludzi. Stąd właśnie konieczność twardego i mądrego domu. Musi więc kobieta wnieść w życie rodzinne taki zasób kultury ogólnej, wiedzy i charakteru, by stał się prawdziwym ośrodkiem odprężenia i źródłem nowych sił.

Jeden z ciekawych uczonych skandynawskich, a więc z kraju, stawianego powszechnie za wzór zdrowej organizacji społeczeństwa, podkreśla, że wielkim niebezpieczeństwem w życiu rodziny jest „walka o władzę”, przejawiająca się w najgorszej postaci, jako „zazdrość o zainteresowania”, gdy jedna strona i to najczęściej kobieta — odnosi się niechętnie do zawodowych, społecznych, naukowych, czy politycznych zainteresowań męża. Trzeba przyznać, że zjawisko takie nie było i w przedwojennej Polsce zbyt odosobnione. W tę sytuację godzą właśnie najostrzejsze zarzuty H. Naglerowej i trzeba zgodnie z nimi powiedzieć, że sytuacja taka jest w obliczu powojennego wysiłku państwa nie do pomyślenia. A jak jej zaradzić, na to autorka już dała swym artykułem odpowiedź, przeto postaram się, to dalej rozwinąć.

Tymczasem chcę jednak zwrócić uwagę na sprawę, bo wyłania się spoza omawianych wyżej tematów, wyrasta ponad nie i zagarnia w szereg wspólnych trosk. *To zagadnienie wychowania w przyszłej Polsce.* Na froncie tym zadaje nam wróg coraz dotkliwsze straty, a odwet nie da się wymierzyć tylko entuzjazmem i ofiarnością, ale będzie wymagał żmudnej, mądrej i upartej pracy. Dobrze nam tutaj mówić o atmosferze i znaczeniu domu, gdy tyle domów rozmiotły wichry wojen. Ale tym większa odpowiedzialność na tych, co przetrwają i podejmą trud. Dlatego chcę z kolei omówić udział kobiet w tym wielkim procesie powszechnego wychowania.

Pisałem kiedyś, że wychowanie jest stałym procesem dynamicznym, obejmującym cały naród. Nie ogranicza się do oddziaływania szkoły, rodziny, kościoła, czy innych organizacji. Nie ma wśród ludzi takich, co sami nawet będąc wychowawcami nie podlegaliby wpływow wychowawczym innych. Jeżeli jednak przyjmujemy tezę, że wychowanie polega na stałym, wzajemnym oddziaływaniu i promieniowaniu, musimy je oprzeć o ukształtowanie własnej osobowości.

I teraz jasna jest zasadnicza rola kobiety i prowadzonego przez nią domu w przyszłym powszechnym procesie wychowania narodowego. Siłę i wartość różnych zjawisk psychologicznych możemy określić tęsknotą, jaka powstaje po ich zniknięciu. Z obserwacji nad pozycją domu rodzinnego w zespole wojennych braków możemy przypisać mu znakomitą moc oddziaływania. To samo mówią psychologowie w twierdzeniu, że każdy człowiek jest taki, jakim jest jego dzieciństwo, że jeśli ma ślady wielu urazów psychicznych to wyniósł je ze złego domu, jak z kolei wszystkie zalety, — jeśli wpływ domu był dobry.

Już przed wojną jedną z istotnych wad tego „powszechnego wychowania” było zamykanie się rodzin w ciszy swoich — takich czy innych — domowych gniazd. Różniliśmy się tym znacznie od społeczeństw zachodnich np. Francu-

zów, w których piękne tradycje „salonów” — szeroko promieniującego ogniska kultury sztuki i twórczej myśli — szczyli się pięknym wkładem do życia intelektualnego społeczeństwa. A przecież nasza tradycja — powiedzmy z dziewiętnastego wieku — mimo wszelkie uchybienia i śmieszności — także wskazuje na poważną pozycję, zajmowaną przez dom w szerzeniu kultury w społeczeństwie. Po wojnie, idąc śladem tych niewiele jasnych, uspołecznionych ognisk życia domowego na uchodźstwie, znów musi wrócić dawna tradycja w nowej, głębszej i bardziej uspołecznionej postaci. Znów, jak teraz będą rodziny promieniowały, tam zwłaszcza, gdzie po tragicznych latach pozostanie na długo osamotnienie i smutek.

W tym właśnie leży jedno z zasadniczych zadań kobiety w budowaniu życia powojennego. Ale powiedzieliśmy, że w wychowaniu najważniejszą rzeczą jest oddziaływanie poprzez własną postawę, czy to w stosunku do wychowania dzieci, czy wobec zakreślonych wyżej szerokich zadań. Dlatego, jak mówi autorka: „już dziś należy zwalczać opory i wyzywać się skłonności do pobieżnych łatwizn myślowych — bo świat kobiecie po wojnie będzie światem powszechnej pracy, trudu, twórczości.” I kiedy dalej podnosi wartość intelektualnego wzbogacania się, nasuwa się jedno aktualne spostrzeżenie.

Wiele kobiet nie tyle „popisuje się wdziękiem niewiedzy”, ile zupełnie poważnie i głęboko cierpi z powodu dziwnej postawy „hyperkrytycznej”. Rozporządzając wcale bogatym zasobem wiedzy i świeżością myśli, kultywują negatywny krytycyzm, wszędzie widzą zło, ułomności i upadki. Obawiają się rozpocząć jakąś pracę, bo wobec ogromu podłości lękają się niepowodzenia. I chociaż postawa ta zapewnia im pozornie poczucie wyższości, przecie psychoanaliticy odkrywają łatwo, że jest to wynik wielu urazów i rozczarowań, jakich nie szczędzi wojna dzisiejszemu światu, które znów łatwiej i głębiej przenikają do wrażliwszej emocjonalnie struktury psychicznej kobiet. To nagromadzenie zabarwionych lękowo urazów prowadzi do słabości, braku odwagi do narażenia się na nowe ciosy z otoczenia; osobnik separuje się od społeczeństwa i chowa w żółwiej skorupie krytycyzmu. A ponieważ umysł przyswaja najłatwiej wrażenia zabarwione przyjemnie, z którymi wiąże się zainteresowanie, wiara w ich wartość — stąd postawa zaprzeczania wszelkim wartościom prowadzi nawet może do zahamowania rozwoju intelektualnego. Często wiążą się z tym natrętne żale, że jakieś posunięcie w życiu zostało wykonane tak, a nie inaczej. Tymczasem przecie negacją życia nie można budować świata. Praca twórcza nie tylko pochodzi z moralnego obowiązku, ale z głębokiej wiary w jej celowość i owocność. Najlepszym lekarstwem na wszelkie załamania jest systematyczna praca umysłowa. Nawyk ten nie jest trudny do wytworzenia, a daje doskonałe rezultaty. Ważne jest zwłaszcza wyspecjalizowanie się w jakiejś dziedzinie. Znakomity psycholog W. H. Burnham twierdzi, że „idealną grupą społeczną jest ta, gdzie każdy jej członek góruje czymkolwiek, a specjalne umiejętności wszystkich zespala ją dla wspólnego celu”. On także sądzi, że pełny rozwój człowieka powinien zdążać od cech dziecięcych, jak „egoizm, indywidualizm, impulsywne sympatie wybiórcze, skłonność do zazdrości, silne reagowanie na wszelkie emocje

— do postawy, właściwej pełnowartościowej, dorosłej jednostce, opartej na poczuciu honoru, lojalności, altruizmie, współdziałaniu zespołowym, zainteresowaniu sprawami społecznymi; łączy się z tym szeroki pogląd na sprawy polityczne, socjalne, wychowawcze i naukowe”. Podobnie mówi W. James: „człowiek pełnowartościowy nie ma czasu na sprawy błahe i nieistotne”. I tymi drogami idzie i pójdzie dalej ludzkość.

Stąd i u podłoża dyscypliny wojskowej leży nie ślepe wypełnienie rozkazów, ale przede wszystkim pełna świadomość własnego postępowania, umiejętność nakazania sobie właściwej postawy, szczerza i świadoma lojalność dla ducha roz-

kazu. To najbardziej trzeba wynieść z wojska i rozwinąć w życiu społeczeństwa. Wtedy dopiero łatwiej będzie budować „świat powojenny kobiet”, który zwłaszcza poprzez dom będzie promieniował wokół. Ale po to przewyżnić trzeba wszystkie przeciwności, te zwłaszcza, na jakie z psychologicznego punktu widzenia zwróciłem uwagę, jako na specjalnie niebezpieczne. Wówczas musi się narodzić wiara mocna w najprawdziwsze piękno, szlachetność sztuki, prostotę dobra, i w to wszystko, co pozwala poznać, zrozumieć i głęboko ukochać życie. Wtedy dopiero każdy szczęśliwy, pogodny i jasny dom, stanie się wielki, jak świat.

Dr Wiktor Szaryński

DRWAŁ

*Stanął mały i słaby pod drzewem — olbrzymem.
Objął pień, wsparł się w korzeń kolanem i schylił.
Lekkim, rytmicznym ruchem wodzi ciekłą pilę.
Skrzyżbi ostrze i żółte wyrzuca trociny.*

*Szumia wiercholki sosen, jakoby gadały:
—Był las, ciebie nie było; miniesz — las zostanie.
—Stal jest twardsza niż drzewo, ale stal się złamie.
—Cóż pocnie słabe, ludzkie, umęczone ciało?*

*Wrzyna się ostrze wprawną kierowane ręką.
Bolą mięśnie w ramionach, oczy pot zalewa...
A wokół stoi tajga; patrzą wielkie drzewa
Na niezmierną, człowieczą bezcelową męgę.*

*Dopiłował. Pot otarł. Wparł w pień obie dłonie.
I zwałiło się drzewo, a pozostał człowiek.*

Jerzy Woszczyński

Pozwólmy, aby nowa kobieta ukształtowała się sama

Rozszalałe, szczerbate koło wojny, nie oszczędzając nikogo, zahaczyło i o kobietę. Burze przewaliły się przez dusze ludzkie. Burze przewaliły się więc tak samo nad kobietą. Bomby na równi kaleczyły mężczyzn i kobiety. Na równi ich zabijały. Ten sam lęk spychał sen z oczu uwiecznionych. Wreszcie dręczą ich dziś te same niepokoje. Dzielią pracę ze sobą. Ten sam karabin dzierżą w ręce. Stanęli obok siebie w szeregu. Mundur, orzełek przy czapce, poranna pobudka, warta i ...ta gryząca tęsknota za domem.

I stała się rzecz dziwna. Już nie jedna Emilia Plater stanęła w szeregu. Stanęły wszystkie kobiety. W nowej, zupełnie nowej pracy zarysowała się niewiasta. Przyszła taka, jaką jest. Ani gorsza, ani lepsza. I dała wszystko, na co ją było stać: rozpromienioną radość, zdrowie, złośliwość, egoizm, zamiłowanie do ładu, serce, miłość, rozflirtowanie, hart, dumę, cierpliwość, przewrotność — słowem: swoje człowieczeństwo. Trudno więc jest określić „typ” obecnej

kobiety. Jest nas w wojsku za wiele, aby się skryształizował jednolity typ. Za różne jesteśmy. Są wśród nas dzieci, panny, żony, matki, wdowy. Mimo to nasuwają się zasadnicze pytania: Czy każda nadąży obecnym czasem i tym, które idą? Czy ma być tylko dobrą kobietą? Czy tylko przydatną w pracy i w służbie społecznej? Czy mamy być takie, jakimi chcemy być, czy jakimi nas chcą mieć?

Sądzę, że trudno byłoby „zrobić” nową kobietę. Nie wszyscy zgodziliby się na jednolity, standardowy typ. Dla jednych „nowa” kobieta byłaby sztucznym, papierowym tworem. Inni zarzuciliby jej oschłość, znowu inni kokieteryę, lub zuchwałość, czy patos i egzaltację. Niektórym w ogóle nie odpowiadałby kolor khaki. Przecież, gdy jest takie mrowie ludzi, trudno o dokładne zróżniczkowanie według długości, szerokości, wysokości, wagi, koloru.

Ale taki bezład, czy też — zindywidualizowanie nie

wyklucza konieczności pracy, kształtującej i harmonizującej. Może dzieje się to nawet samorzutnie, bo właściwie już krystalizuje się kobieta polska po roku 1939.

Wartością tej „nowej” kobiety jest: miłość Kraju, szczerść i ciągły postęp ku dobremu. Nie znaczy to wcale, że kobieta ta jest aniołem. Nigdy nim nie była, choć nieraz wmawiano jej „anielstwo”. Tak samo, jak wmawiano jej „sfinksowość”, albo kreowano ją na — wampa.

Do ideału ukochania swojej ziemi sięgnąć może każda. Nie wyklucza to cech indywidualnych. Może być junaczką, czy żołnierzem P.S.K., zakochaną narzeczoną, żoną, matką, pracownicą wszelkiego rodzaju — wszystko jedno. Kochać Polskę możemy przy kierownicy, łącznicy, przy aparacie radiowym, w biurze, w kuchni, w pralni. Tego nie trzeba się uczyć. To uczucie tkwi w nas bardzo głęboko. Nie ma kąta w duszy człowieka, aby to umiłowanie się nie wciśnęło. I nic nie stoi temu na przeszkodzie, ani wykształcenie, ani zamiłowania, ani poziom intelektualny. Tu nie ma targu, kto więcej, kto głębiej kocha. Byleby serce bez reszty oddać. Dla tego uczucia, dla tej wielkiej miłości kobieta uporządkuje każdą swą pracę, czynić ją będzie ani dla siebie, ani dla szefa, ani dla dowódcy. Będzie ją czyniła dla NIEJ. I wtedy nie będzie rzeczy małych, dużych, ważnych i małoważnych. Wszystkie będą wielkie. Ranne wstanie na pobudkę będzie tak samo ważne, jak na przykład praca na radiostacji. To się może wydać śmieszne, trącić pensjonarską skrupulatnością, przypomnieć lekcje z księdzem katechetą. Całe szczęście, że pomyślą tak tylko ludzie, którzy prawdopodobnie nie umieją uświęcić drobiazgowość dnia powszedniego.

A teraz o szczerści. Właśnie w obecnym świecie zakłamania, fałszu i pruderii na kompromisy nie ma miejsca. Zresztą prawda to jedyny środek, który nam pomoc może w dźwiganiu się z brzydoty ostrapiałego świata. Bez idealizowania i deklamacji można przekonać się, że prawda jest konieczna. W przeciwnym razie łatwo stracić grunt pod nogami. Jeżeli nas nie stać, aby z pobudek najczystszych przyswoić sobie prawdę, stosujemy ją z egoizmu, dla wygody, aby wybrnąć z piekła rozszalałego wojną świata. Kobieta szczególnie musi kultywować prawdę, bo daje życie, wychowuje, organizuje rodzinę. Szczerść jest odwagą, która wyraża się w prawdomówności. Musimy być odważne, już

nimi jesteśmy. Brzydzimy się obłudą i tak właśnie: prawdą naszego myślenia i życia chcemy służyć odradzającej się po wojnie Ojczyźnie. Jeżeli nie będzie zakłamania w rodzinie, życie społeczne pójdzie torami prawdy, stanie się bardziej etyczne.

Z kolei — praca nad sobą, praca, aby być dobrą. Zagadnienie może się wydać problematyczne i dla wielu z nas trudne. Ale tu leży ciężar naszej wartości — kobiet. Musimy być stanowcze, sumienne, staranne. Odrzućmy „naj”. Nie mówmy więc: muszę być najcierpliwsza, najsprawiedliwsza, najgrzeczniejsza itp. Nie stosujemy superlatywów. „Chcę być dobrą kobietą” — oto wszystko.

I tu pozwólmy kobietom być takimi, jakimi są. Nie naginajmy ich do określonych form, bo mogą się w nich nie pomieścić, albo ich nie wypełnią i będą, jak lalki w za dużym pudełku. Nie wycinajmy w wyobraźni profilu nowej kobiety. Profil sam się zarysuje, a właściwie zarysują się profile. Każda indywidualność pomieści się, bo horyzont wielki i nie kończy się złudnym stykiem z ziemią. Pomieści on Joasie i Judymów („Ludzie bezdomni” St. Żeromskiego). Pozwólmy kobietom, aby były szczerze. Nie zakłócajmy ich pogody i nie odgrzebujmy ich goryczy. Muszą one same z sobą dojść do ładu. Jeśli są szczęśliwe, roześmiane — po co gasić promiennosc ich usposobienia. Jeżeli skryte i zadumane — nie wciskajmy się do ich dusz. Niechże się kształtują, niech myślą, niech pracują nad sobą. Jedyny warunek, aby były dobre.

Dziwne będą kobiety po wojnie. Będą takie, które „pod rozdartą sosną” („Ludzie bezdomni” St. Żeromskiego) pożegnają swe ukochanie. Będą kobiety, które nie zaznają szczęścia w domu, dopóki szczęścia i pokoju w Ojczyźnie nie będzie. Znajdą się Madzie („Emancypantki” Prusa), szukające ukojenia w odosobnieniu od świata z wieczną drzazgą w sercu. Będą ciche żony, będą twarde, samodzielne pracownice. Nie zbraknie kokietek. Ale to będzie już po wojnie. Dziś tworzy się kobieta. I jeżeli pragnie, aby w historii skryzalizować się, niech będzie człowiekiem. Jako prawdziwy człowiek z krwią, duszą i sercem niech weźmie na siebie całą konsekwencję człowieczeństwa — i jego bóle, niepokoje, radości, rozterki. I poprzez całą siebie niech idzie ku dobru.

Irena Bachowa

LISTY

*Jakże jest ciężko, kiedy nie ma listu,
Chociaż się adres ma i pocztę wierzy,
Wtenczas z szalonej wichury poświstu
Chce się wydobyć grom, by mógł uderzyć.*

*Ale jest ciężiej, gdy list się otrzyma
Drogą powrotną wcale nieczytany
I gdzie nic więcej prócz dopisku nie ma:
„Adresat umarł” — list cenzurowany.*

Zofia Szafran



Radiotelegrafistki na ćwiczeniach (Szkocja)

P. S. K. w służbie łączności

*Dobra łączność — to połowa zwycięstwa,
— zła łączność — to klęska.
(Marszałek J. Piłsudski)*

Zanim przedstawię rolę ochotniczki w wojskach łączności, postaram się w kilku zdaniach wykazać, czym jest łączność — by na tym tle omówić temat.

Treścią życia społecznego jest zawsze zdolność porozumienia się między ludźmi. Możliwość porozumiewania się na odległość daje nam wiele radości, ułatwia nam życie. Często przyczynia się do uratowania życia i mienia, gdy w przeciągu zaledwie sekund możemy zawiadomić o wypadku, pożarze, czy nieszczęściu i uzyskać szybką pomoc. Dzięki łączności telefonicznej, czy dzięki środkom mechanicznym uzyskujemy łączność osobistą i bezpośrednią.

Łączność w wojsku jest znana od najdawniejszych czasów. Była to łączność prymitywna, oparta na korzystaniu z gońców. W miarę jednak, jak zwiększały się armie, zwiększał się obszar ich działania, rozwój techniki postępował naprzód — udoskonalały się więc i środki łączności. Łączność stała się nerwem wojska, środkiem dowodzenia dowódcy, powodując zawsze pragnienie wroga do zniszczenia łączności przeciwnika, aby osiągnąć szybkie zwycięstwo. Łączność — to środek przekazujący wolę i myśl na odległość — to łącznik między dowódcą a podwładnymi. Łączność to system środków pozwalający na przesłanie wiadomości: 1) na piśmie (gońcy piesi i motorowi), 2) drogą ra-

diową przez wykorzystanie eteru, jako ośrodka przenoszenia fal elektromagnetycznych, 3) drogą prądu elektrycznego i linii drutowych, łączących stacje (telegraf, telefon).

Środki łączności, przenoszące wiadomości na piśmie, służą do przesyłania rozkazów i meldunków na mniejsze odległości, oraz przesyłanie korespondencji o dużej objętości. Są to środki powolne i potrzebują personelu na środkach motorowych, oraz mają zastosowanie jedynie w specjalnych wypadkach. Środki łączności, oparte na przewodach drutowych, pozwalają na kontakt osobisty i szybkie przesyłanie wiadomości na duże odległości, są jednak mało ruchliwe ze względu na trudności zakładania sieci drutowej.

Radio jest najlepszym środkiem łączności na dużych odległościach oraz w działaniach ruchomych. Posiada jednak cechy niekorzystne: 1) potrzebuje specjalnego wyszkolenia, które wymaga wiele miesięcy żmudnej pracy, 2) ze względu na niemożliwość kierunkowego nadawania i ustalania granicy zasięgu, oraz 3) możliwość odbierania znaków i mowy przez obce radiostacje.

Ostatnie cechy powodują, że nieprzyjaciel może służyć wiadomości, które przekazujemy i jest w możności nadawania znaków, aby przeszkodzić naszemu odbiorowi, lub wprowadzić nas w błąd za pomocą podania zmyślonych wiadomości. Zadaniem personelu łączności, a więc wojsk łączności jest przewyciężenie jego niekorzystnych stron.

Kobiety w służbie łączności brały udział od wielu lat.



Rejon zakwaterowania ochotniczek P.S.K.
Kompanii Łączności

pracując na centralach telefonicznych, przy aparatach telefonicznych czy jako tzw. „jużistki” po 9-miesięcznym przeszkoleniu w Centrum Wyszkożenia Łączności, pracując na aparatach Hughes'a. Po stworzeniu P. S. K. w Rosji, przy niektórych oddziałach łączności zostały utworzone Kursy Łączności, mające na celu wyszkolenie telefonistek, a później radiotelegrafistek. Większy udział w pracy łącznościowej biorą ochotniczki na terenie Środkowego Wschodu, kiedy to zorganizowano kilka kursów dla radiotelegrafistek, telefonistek, szyfrantek.

Mało kto wie, jakim warunkom musi odpowiadać ochotniczka w łączności, a przecież nie każda może w tej dziedzinie pracować, bo nie każda posiada odpowiednie warunki intelektualne i psychiczne, nie każda potrafi znieść cierpliwie trudy tej pracy i wywiązać się z niej bez zarzutu. Pół godzin przez szereg miesięcy musiały poświęcić ochotniczki, aby uzyskać potrzebną wiedzę, zdobyć zdolności szybkiego porozumienia się lub uczestniczenia w zapewnieniu łączności dowódcom. Oprócz opanowania wiadomości ogólnie wojskowych, zdobyły one technikę przesyłania znaków i mowy drogą drutową przez opanowanie znaków



Kurs radiotelegrafistek przy odbiorze znaków Morse'a

Morse'a, rozróżniania różnych kombinacji znaków na słuch, dojście do tempa, zdobycie umiejętności korzystania z aparatury, czy innych elektrycznych środków łączności. Nadto opanowały radiotechnikę i elektrotechnikę, by zrozumieć istotę działania urządzeń radiowych i wreszcie opanowały przepisy korespondencyjne, konieczne dla szybkiego i sprawnego przekazywania wiadomości.

Szkolenie to wymagało dużego skupienia uwagi i wielkiego wysiłku, aby po 6 miesiącach intensywnej pracy stać się pełnowartościową radiotelegrafistką czy telefonistką. Praca przy radiostacji wymaga pierwszorzędnej obsługi, aby uzyskać maksymalną sprawność, zachować dyscyplinę ruchu, aby w odpowiedniej chwili nie powiedzieć ani słowa więcej niż tego wymaga konieczność i bezpieczeństwo, aby pokonać wpływy elektryczne atmosfery w postaci trzasków i szumów, które tak często towarzyszą odbiorowi radiowemu w tym klimacie w okresie wzmożonych wyładowań elektrycznych atmosfery.

Poza radiotelegrafistkami, ochotniczki pracują jako telegrafistki na tzw. fulerfonie tj. telegrafii polowym, od aparatu zwane „fulerfonistkami”. Ochotniczki — szyfrantki każdą wiadomość przed wysłaniem na stację albo fulerfon zamieniają w szereg znaków literowych czy liczbowych, aby w ten sposób przekształconą wiadomość — z gwarancją zachowania tajemnicy puścić na fale eteru, aby gdzieś setki mil dalej złapana wiadomość w postaci grup cyfrowych lub literowych znowu po zdeszyfrowaniu nabrała treści i doszła do miejsca przeznaczenia.

Jedynie bardzo nieliczni, nawet w łączności, zdają sobie sprawę jak wielka odpowiedzialność ciąży na radiotelegrafistce i że jedna litera czy cyfra, źle nadana lub odebrana, tyle kłopotu sprawia szyfrantce w wynalezieniu błędu. Nieliczni jedynie wiedzą, jak wielkie ilości kombinacji znaków brzęczą codziennie w uchu radiotelegrafistki, ile cyferek łapie ona codziennie, świadoma dużej odpowiedzialności ciężającej na niej.

Stykamy się często z telefonistką, denerwuje nas, gdy niezbyt szybko uzyskamy żądane połączenie, narzekamy na wadliwą obsługę centrali telefonicznej. Czy słuszne są nasze zarzuty? Trzeba się przyjrzeć tej pracy, gdy przy silnym ruchu spada naraz kilka kłapek, gdy linia jest zajęta, gdy słaba słyszalność, gdy abonent się nie zgłasza, a zainteresowany się denerwuje, używając sobie w sposób nie zawsze grzeczny na telefonistce, usiłując wyłączyć swą żołąć na biedną, najczęściej bez winy telefonistkę. Trzeba to wysłuchać cierpliwie, bo biada jej, gdy nerwy zawiodą. Ochotniczka, pracująca w ośrodku łączności przy przyjmowaniu, segregowaniu i ekspedycji poczty służbowej, ma pracę wprawdzie mniej wyczerpującą nerwowo, wymaga się jednak od niej często dyżuru nocnego lub poświęcenia godzin poza-służbowych w wypadku dużego nasilenia korespondencji.

A szyfrantka — jakie olbrzymie ilości cyfr przed jej wzrokiem, jak wielka ilość grup, wyrazów i cyfr musi zawierać jej pamięć, ile wysiłku kosztuje ją zniekształcona przez przeszkody atmosferyczne czy omyłkę w drodze wiadomość, jak nieraz ciężko jej w nocy, poza normalnymi godzinami pracy wstawać, gdy inne śpią, a przyjdzie coś pilnego, bo tego wymaga dobro służby.

Poza pracą wybitnie techniczną, biorą ochotniczki udział

w normalnym życiu wojskowym, pełniąc między innymi służbę i wartę.

We wszystkich dziedzinach pracy, tak poważnej a mało znanej i przez to często niedocenianej, wszyscy, którzy się zetknęli z pracą ochotniczką w łączności, stwierdzić muszą, że ochotniczka wywiązuje się z zadań, jakie nakłada na nią rodzaj broni i specjalność, bez zarzutu, cichą pracą dając przykład zaparcia się siebie — podporządkowując swą pracę wymogom regulaminu i woli przełożonego.

Józef Trocki

TI-TA-TA-TI...

Z początkiem listopada zjechały się kandydatki na kurs, same młode, pełne zapału i ochoty do pracy ochotniczką.

Kompania nasza składała się z elementu inteligentnego, więc żyłyśmy się z sobą prędko. W przeciągu kilku tygodni zrobił się z nas karny i solidarny zespół, który nie tylko z ogromną sumiennością brał się do nauki, ale także starał się wyrobić łączności najlepszą opinię.

Pierwsze, niezrozumiałe dla nas i tajemnicze znaki „ti-ta-ta-ti” zamałyły nasze myśli i stały się psychozą, która nas opętała. Pocieszały nas nasi dowódcy, że ciężko nam będzie tylko... przez pierwsze pięć lat, a potem jakoś pójdzie. Ale my byłyśmy widocznymi fenomenami, bo po dwóch miesiącach nic nie było dla nas straszne, a pod koniec kursu osiągnęłyśmy „rekordowe” tempo od 80—110 znaków na sekundę.

Naukę traktowałyśmy na serio i często w przerwach między lekcjami można było widzieć wygrzewające się na słońcu postacie z notatkami w ręku. Bodźcem do pracy była dla nas rzadko spotykana życzliwość instruktorów i sprawiedliwość dowódców. Szybko spostrzegłyśmy to i doceniały należycie.

Życie kulturalne i towarzyskie kwitło, mimo nawału pracy, służb i wart. Jeszcze do dziś wspominamy pożegnanie pierwszych telefonistek, odchodzących od nas do pracy po ukończeniu kursu. Wśród szarych dni twardego żołnierskiego życia, zdarzają się czasem takie, które w sercu i pamięci pozostawiają ślad na całe życie, zawsze jednakowo silny i jednakowo świeży. Mam wrażenie, że wszystkie, spędzając wspólnie wieczór wigilijny, czy mikołajkowy, w rodzinie łącznościowej jeszcze jeden taki dzień przeżywały — dzień pożegnania.

Pięć miesięcy gruntownego szkolenia, urozmaiconego czy to egzaminem z radiotechniki, czy organizacji armii, od czasu do czasu imprezami organizowanymi na poczekaniu — doprowadziło nas do celu. Kurs miał się ku końcowi. Nie było nawet rywalizacji o lokaty, byłyśmy naprawdę żyte, pomagałyśmy sobie wzajemnie, by utrzymać się na poziomie.

Przy zielonym stole zebrała się komisja, z d-cą wojsk łączności na czele. Ochotniczki w odświętym stroju, z uroczystą miną podchodziły do „operacyjnego” stołu. Tu przyśkała cały strach i ze stoickim spokojem dawałyśmy odpo-



Lekcja radiotechniki

wiedzi na pytania. Wiedziałyśmy, że nasi opiekunowie wezmą pod uwagę wszystko, a wynik kursu będzie oceną naszych wysiłków przez cały okres jego trwania. I tak się stało. Koniec. Przemięły najmilsze nasze chwile — stałyśmy się dyplomowanymi radiotelegrafistkami. Rozdano świadectwa i ustalono lokaty. Skończony jeden rozdział naszej służby w P.S.K.

Teraz nowe kłopoty i pytania — co będzie dalej?

Ale wiedziałyśmy, że myślą o nas i troszczą się nasze władze. Byłyśmy spokojne. Rozdzielono naszą kompanię na dwie części. Jedna pozostała w batalionie armijnym, druga przeszła do etapów. Długo to jednak nie trwało. Złączyłyśmy się po kilku tygodniach na terenie kompanii. Jesteśmy razem, zmieszane z tymi, które przybyły z kursu, z Palestyny. Dzielimy wspólnie nasz los i pomagamy dowódcy w szkoleniu nowego, młodego pokolenia. Poza tym utrzymujemy łączność nie tylko duchową, ale i radiową z tak dalekimi, a tak nam bliskimi oddziałami naszej armii. Mamy to wielkie szczęście, że spełniamy służbę dla Polski.

Janina Ojakówna



Zaladowanie radiostacji na samochody

PAJĘCZE NICI

Niezapomniany był dzień 1 listopada 1942 r. Uroczyście rozpoczęliśmy kurs łączności. Minał tydzień jak przyjechaliśmy z Iraku do Palestyny w szortach i australijskich kapeluszach. Niejedna główka dziewczęca ostrzyżona była króciutko — ślady przebytego tyfusu. Duży drewniany barak pochłoniął nas w swe wnętrze. Długie rzędy łóżek błyszcząły ciemnym lakierem. Serca podekscytowane były niespokojnie. Wstępny egzamin zachęcił nas jednak do pracy. Zaczęliśmy naukę. Rozległy się pierwsze „tit-ta“ po sali. Kropki i kreski ułożyły się nieznanym alfabetem. Melodyjne litery wystukiwałyśmy łyżką po menażce stojąc w ogonku po obiad. Brzęczałyśmy nożami po stole, słowem — dookoła świat przemienił się nam w „tit-ta“.

Przychodziły wieczory. Moskitery opuszczały się miękko na łóżka i zza nich wydobywał się głos brzęczyka. Ileż to emocji przeżyliśmy, gdy po pierwszym egzaminie wykazywałyśmy się tempem od 30-50.

Nowe siły i ochota napłynęły do głów, ogłuszonych nieco pracą. Tempo rosło i wiadomości rosły. Elektrotechnika, aparatoznawstwo, regulamin służby ruchu... Jednocześnie przechodziliśmy kurs unitarny. Każdego rana III pluton łączności ze śpiewem, wesoło maszerował pomarańczową aleją na musztrę. Telefon, łącznice i fulerfon wraz z 60 tempem odbioru słuchowego opanowałyśmy w 3 miesiące. Potem wyjechaliśmy do Iraku, aby tam się doszkolić.

W Quizil-Ribath szkolił się równocześnie kurs łączności. Dołączyliśmy do grupy, stanowiąc oddzielną jednak całość. Tu zaczęła się naprawdę praca. Ambicje nasze wzrosły. Już nie telefon czy fulerfon nas pociągały, ale radio. Zaczął się wyścig. Tempo sunęło ostrą linią do góry. Już 80,90. Niektóre koleżanki sięgały „stu“. Ćwiczyłyśmy zawzięcie nadawanie. Zaciekle i uparcie uczyłyśmy się radiotechniki. Świat dookoła stracił powab i czar. Praca, praca ciągała, intensywna. Zbliżający się egzamin podsycił do

nauki. Dzień 10 maja 1943 roku był dniem egzaminu.

W kilka dni później, stojąc w szeregu, otrzymałyśmy świadectwa ukończenia kursu, oznaczone lokatami. Najzdolniejsze uczennice osiągnęły tempo 120 i 100 nadawania. Słabsze 80 i 70.

Jednak dopiero po kursie zaczęła się ciekawa praca. Ćwiczenia organizowane przez kpt. Cebrowskiego dały nam obraz prawdziwej łączności.

Usamodzielnily nas one, uodważniły. Rychło po nich zaczęłyśmy pracę na prawdziwej sieci radiowej Quizil — Ribath — Kirkuk. Wyzbyłyśmy się tremy. Nie pozostało po niej śladu.

I znowu dotarłyśmy na teren Palestyny. Siecią pajęczą drutów i fal owinęłyśmy świat polski za granicą. Do poszczególnych oddziałów kompania nasza wysyłała obsady z naszych koleżanek. Rozpierzchłyśmy się do pracy. Jądro łączności zostało jednak w kompanii.

W październiku 1943 nasze koleżanki ze szkoły mł. ochotniczek przeszły nowy kurs. Szkoliły się 3 miesiące. Z nimi było mniej kłopotu. Świeże umysły, rozgimnastykowane nauką szkolną, przyswajały sobie łatwo wiadomości. Pomagałyśmy im szczerze w pracy. Niedługo zabawiły u nas. Osiągnąwszy dostateczne tempo, odjechały od nas na nową pracę, gdzieś dalej... Zostało po nich tylko dobre, miłe wspomnienie. Były wszystkie bardzo młode, zdolne, ohotne do nauki i serdeczne. „Good by“ młody kursie.

Ale z rozstaniem jeszcze nie koniec. Coraz częściej opuszczają nas koleżanki. Odjeżdżają, aby pracować samodzielnie. Losem naszej kompanii jest przygarniać, uczyć, a potem żegnać... Niedawno zaczął się nowy kurs łączności. I znowu to samo „tit-ta“ rozlega się po obozie.

Pajęczce nici rozsnuwają się, rozmotują, wiążą się i zadzierzgają.

I. B.



Przy obsłudze łącznicy



Radiostacja w polu



Bash-Shidt — I Obóz Junaków



Po hamsinie

OD UGORU DO ŁANÓW

„Jak jaskółki są zwiastunami wiosny, tak pojawienie się pań w Obozie Junaków otwiera nową erę w życiu naszym, chłopcy“ — tymi słowami przywitał nas D-ca Obozu Junaków ppłk. B., gdyśmy po raz pierwszy dnia 13 lipca 1942 r. stanęły na szczyrach piaskach Bash-Shidt'u.

Zagrane serdecznym przyjęciem, poruszone tysiącem par mniej lub więcej dorosłych, a częstokroć całkiem jeszcze milusińskich oczu, ochotniczki, dotąd zamknięte w Obozie Rehowockim, wlały się ciepłym strumieniem w to skupisko młodych organizmów i serc, aby wkrótce dotrzeć do wszystkich komórek obozu, przeradzającego się w szkołę.

Więc „ciało“ nauczycielskie rozprysło się po „izbach szkolnych“, czyli namiotach. Ławą, stołem i stolikiem był tam pustynny piach, podręcznikiem to tylko, co każda uniosła w głowie, a rozkrzyżczona zgraja wysilała swój młodociany dowcip na zaimprovizowane „katedry“ dla pani profesorki.

Trzeba było ten istny bigos junacki posegregować, rozdzielić na szkoły, a następnie każdy umysł ulokować w odpowiedniej klasie. Praca olbrzymia.

Siostry, jak przed ślepą ścianą, stanęły przed brakiem wszelkich urządzeń ambulatoryjnych. Dlatego też, kierując się zdrową myślą tępienia zła u podstaw, przestoczono je w higienistki, aby codziennym i cogodzinnym wglądem w tryb i higienę życia junaka — uchronić go możliwie od zachorowań. Izba Chorych w tym okresie nie istniała. Był tylko namiot dla „świerzbowatych“ a ambulatorium „wyposażone“ było w butelkę jodiny i trzy brudne bandaże. Jedyna siostra, która obsługiwała początkowo Izbę Przyjęć, płakała nieraz krwawymi łzami, gdy opatrunki wrzodów i innych okaleczeń odbywały się co kilka dni z powodu braku środków opatrunkowych.

Kucharki bohatercko stanęły w liczbie sześciu do obsługi 60 kotłów, w jakich gotowano strawę na dwa tysiące bez mała dobrze chłonących gąb. Praca ich rąk, czy doczeka się kiedy należytej oceny i uznania?

Maszynistki, przytłoczone nawalem pracy, kępowane, i to bardzo surowo ciągłym brakiem papieru, łamały palce na zepsutych maszynach starego typu. Kantyniarki, zakasawszy, jak to się mówi, rękawy, zabrały się tak gorliwie do dzieła, że w krótkim czasie doskonale prosperowała świetnie wyposażona, obsłużona bez zarzutu i masowo odwiedzana, junacka kantyna — gdzie młody żołnierz, czytaj opuszczone dziecko — nie napotykał na ostre słowo, lecz na uśmiech łagodny i zachęcający. Świetliczarki na razie zostały bez przydziałów.

Czy do szkoły poszły siły wykwalifikowane? Jeśli chodzi o nauczycielki — tak. Ale zastęp ich był bardzo szczupły. Niewielu uśmiechała się żmudna praca nauczania w warunkach tak ciężkich, bez podręczników i pomocy szkolnych. W innych działach decydowały częstokroć nie „kwalifikacje“, a tylko gorące serca, i gotowość wysiłku, i chęć pracy, i pragnienie służenia Sprawie! Bo szkoła, która daje wykształcenie, wychowanie i opiekę tym setkom, wyrwanym białej i gorszej stokroć — bo moralnej — śmierci, sierot i półsierot, jest bezsprzecznie nie tylko odcinkiem całej Polskiej Sprawy, ale bezsprzecznie odcinkiem bardzo ważnym.

D-ca Obozu, a obecnie D-ca Szkół Junaków, uprzedzał werbując nas do pracy, że czeka nas nie lada wysiłek, wiele trudu, wiele niewygód i zalecał dobry i głęboki namysł. Myśmy się zdecydowały bez namysłu. Czy żałowałyśmy kiedy swego kroku? Życie ludzkie i praca człowieka nie wykreśla się linią ciągłego i nieustannego wznoszenia się lub opadania, czy też linią poziomą stałego i równego wysiłku. Nie. Jest to krzywa — łamana. Ale z chwilą, gdy po największym nawet załamaniu czyli opadnięciu, linia ta się wzniesie do wyższego punktu, niż to miało miejsce przed jej opadnięciem, wszystko jest — all right. Czyli nie ma o czym opadnięciem, wszystko jest — all right. Czyli nie ma o czym mówić. Jeśli nie zapal, to gorąca chęć wytrwania i podążania pracy gościła i gości dotąd w sercu każdej z nas.



Przy posiłku

Skąd czerpałyśmy siły, chęć i zapał w tych nieprzejętnie ciężkich i trudnych warunkach, w jakich się praca zaczęła? Przede wszystkim w zgoła niecodziennie życzliwej postawie w stosunku do nas D-cy Szkół Junaków, potem w harmonijnie i zgodnie układających się stosunkach wewnętrznych naszej samodzielnej komp. P.S.K., co w lwiej części jest zasługą naszej byłej i obecnej komendantki. Nade wszystko jednak siły się pomnażały i rósł zapał, gdy się patrzyło na te zwarte i sprawne szeregi jasnoociekiej młodzieży, tego kwiatu polskości, dotkniętego tak boleśnie i okrutnie w najwcześniejszej i najradośniejszej swojej wiosnie. Zwłaszcza zaś topniały nam serca i wzbierały czułością przy oglądaniu codziennego marszu na poranną lub wieczorną zbiórkę najmłodszych wychowanków szkoły. Te „Tomcio paluszki“, liczące sobie nierzadko aż siedem latek, wpuszczone w przepastne głębie przy-wielkich mundurów, obutych „na wyrost“ w siedmiomilowe bucziary, przykryte przed upałami hełmami tak wielkimi, że robili wrażenie grzybów na krótkiej nóżce — oni to poruszali w nas najgłębsze pokłady czułości, troski o ich życie i dobro, budzili pragnienie niesienia pomocy i opieki.

Więc i te, które wytrzymały w ów pamiętny dla nas dzień 13 lipca 1942 r., w gnębiący żywioł szczerego piachu pierwszego obozu, spostrzegły, że nie znajdują żadnej pomocy i żadnych ułatwień, że wszystko dać i wykrzesać należy ze siebie, zwątpiły chwilowo i mówiły: „Szaleństwem jest sam projekt utworzenia w tych warunkach szkoły“, — i te, patrząc na bohaterkie szeregi „grzybków“ — milkły zaskoczony i wstrząśnięte.

Te, którym przy zetknięciu się z krnąbrnym i zepsutym (spójrzmy prawdzie w oczy) elementem, opadały ręce — brały się z nowym zapałem i zacięciem do pracy.

Te wreszcie, które kręciły noskami, gdy wypadło kilka dni przespać się bez łóżek w namiotach na ziemi, czuły się głęboko zawstydzony, gdy widziały tych malców, jak borykając się od świtu do nocy z piaskowym żywiołem: w łóżku, w kocu i w książce — umieli jednak zachować i utrzymać czystość i porządek swego skromnego mienia.

Nauczycielki przedzierały się przez istną dżunglę trudności. Z jednego, z trudem zdobytego, egzemplarza podręcznika naukowego robiło się, klęcząc na ziemi i mając za stół

łóżko, ręczne odpisy dla siebie (zmęczony fizyczną pracą ponad siły, wyczerpany głodem i przejściami umysł — nierzadko odmawiał pamięci) i dla mniej przedsiębiorczych i energicznych koleżanek. Znałam i takie, które chcąc zatrzymać na dłużej zdobyty na krótko, a wielce cenny podręcznik, zdobywały się na fantastyczne, a dla zdrowego i zimnego rozsądku zgoła niepojęte posunięcia — jak kolkietowanie i okazywanie pewnych względów właścicielowi owego skarbu. Przekupstwo? Nieuczciwość? „Common sense“ na pewno wyczyn taki potępi. Ale my taką „przewrotną duszę“ rozumiemy w zupełności, rozgrzszamy i kochamy.

Gdy dziś patrzę z pewnej perspektywy, uzyskanej półtora-roczną egzystencją szkoły, na te jej osiągnięcia, na ten jej piękny rozwój, rozrost liczbowy i jakościowy, i gdy się zastanowię, jaki czynnik stał się najbardziej w naszej pracy konstruktywny — muszę stwierdzić z całą pewnością, że czynnikiem tym jest — serce. Młodzież naszą, która przeszła straszną szkołę klęski narodowej i Sybiru, która patrzy nie tylko dojrzałe, trzeźwo i praktycznie na życie, ale częstokroć — nieufnie i gorzko, przekonać może już nie ostry głos rozkazu, za którym pójdzie tylko z musu, nie chłodna filozofia, co rani jej ukryty już może z konieczności i przygaszony zapał młodzieńczy, ale trafią do niej łatwo te same prawdy podane — sercem. I dziś trzeba stwierdzić, że wszędzie tam, gdzie chłopiec napotykał serdeczność, — nie tę mdłą i kłiwą, którą przyjmuje wzruszeniem ramion i lekceważącym uśmiechem — ale tę prawdziwą, rzetelną, poważną i stanowczą, płynącą ze zrozumienia i miłości — z krnąbrnego i często aroganckiego stawał się uległy i posłuszny. W konfliktach, jakie czasem zachodziły między młodzieżą a ich bezpośrednią władzą, czynnikiem niosącym różdżkę pokoju stawała się ta istota w mundurze i w skórzanym pasie, która potrafiła zdobyć zaufanie i miłość, dając wytrwale i nieustannie rzetelny swój trud i swoje gorące serce.

Dziś szkoła nasza może się poszczycić swoją organizacją i zdobyczami w dziedzinie nauki, wychowania, wyszkolenia wojskowego junaków, wyposażeniem i ilością personelu. Dziś szkoła nasza jest liczna, piękna, budzi podziw i uznanie. Ale do Bash-Shidt'u przybyła nas tylko garstka — zapalonych pięćdziesiąt — (dziś pracuje nas sto pięćdziesiąt i więcej). I nigdy nie zapomnimy kochanego pry-



W pralni junaków

mitowy pierwszego obozu, gdzie pierwszy raz natknęliśmy się, jak na pierwszy kwiat na niwie naszej pracy, na odruch serca i rycerskości naszych wychowanków. Stało się to podczas nocnego huraganu, burzy i szalonej ulewy, gdy namioty spadały jeden po drugim, a ochotniczki jak „kupki nieszczęścia“ tkwiły bezradnie na zwalach swoich domów, a wtedy:

Mali junacy, dzielne bohaterki,
Z wichrem zbójcekim brali się za bary,
Noc caluteńką stukwały siekiery
I wołań ludzkich głośiły się swary,
Jakiż hart mają te ich małe ciała,
A ich ofiarność wielka nie do wiary!

Żołnierzyki

(Z księgi pamiątkowej „Dywizja Lwów“)

Gruchnęła po obozie wieść niesłychana; O. M. Z. dostaje oddział kobiet na przeszkolenie. (Piszę: „O.M.Z.“ dlatego, aby się nikt nigdy nie dowiedział, jaki to oddział „M“ został tymi kobietami uszczęśliwiony, piszę zaś — „M“, aby ciekawych wprowadzić w kompletną dezorientację, nie chcę bowiem stać się winnym zdradzenia tajemnicy służbowej).

Kobiety!!!! — Trzy wykrzykniki i trzy pytajniki. Rozkaz „M“ wywołał w obozie rozmaite reakcje. Jedni, a byli to przeważnie żonaci, machnęli ręką (nie chcąc być źle zrozumiąnym wyjaśniam, że nonszalancki gest ręką nie był na rozkaz, a na kobiety), drudzy, a byli to jeszcze kawalerowie, przybrali swoje twarze w radosny uśmiech. Wszyscy natomiast, pierwsi z poczucia obowiązku, a drudzy poza nim jeszcze i z nieklamanej kurtuazji, zgodnie na cały głos wykrzyknęli, tak jak to zazwyczaj starszy sierżant Wiatryk czyni „R-r-rozkaz“. A no, to i słusznie, boć przecież przyszliśmy do wojska po to, aby swoją wolę podporządkować woli przełożonych, i choć niejednym z nas nosi w swoim tornistrze buławę marszałkowską, to jednak służyć należy i rozkazy wypełniać.

W zelektryzowanym tą wiadomością obozie wreszcie praca. Spyta się może ktoś, dlaczego? Przecież jasne. Nie zadawać głupich pytań. Przecież „stało“ w rozkazie jak wół, że kobiety przychodzą. Gdzie je pomieścimy? No chyba pod namiotami... Kopie się więc głębokie gniazda namiotowe, szuka w całej okolicy drągów na maszty, wikliny i darni na oplatanie i odziewanie ścian, ściągają ze wszystkich stron deski na prycze i ławki, wyciągają, nawet spod siebie, maty, pobiera z magazynu sienniki, wypychają je naturalnie nie szkłem, a wonnym sianem, pobiera przeciwradła... i ...wiele innych rzeczy i materiałów, które się składają na udogodnienie egzystencji żołnierskiej. Żołnierze pokrywają ściany gniazd namiotowych, zagrabują równiuteńko wyrzuconą z nich ziemię, a że jest błoto, pokrywają również darnią drogę do namiotów.

Niby po co się to wszystko tak pieczołowicie i z takim przejęciem robi?... Chodzi strzelec Piątka Franek z łopata w rękach dookoła gniazda i przyklepuje do ścian darni, a czyni to z takim namaszczeniem i ostrożnością, jak gdyby

Gdy nam na pomoc pośpieszają cudem,
Gubiąc w roztopach olbrzymie bucziary,
O każdej porze, tak we dnie jak w nocy,
Do czynu dzielna drużyna gotowa!
Wciąż niezrażeni budują od nowa,
Nikt ich na próżno nie wzywa pomocy!
Gdy ich podziwiasz, podnoszą oręża
I z dumą mówią: „do nam nie piereszczona!“
Bądź dumna Matko i o tym pamiętaj,
Że na ich dzielność dzień cicha Ojczyzna!

Maria Wojewódka

pokrywał różnokolorowym lukrem tort wielkanocny. Kapral Drużynowski Walenty stoi na straż, przynagla do pośpiechu, aż wreszcie wyprowadzony z równowagi wyrzywa z rąk strzelca Piątka łopatę i sam zaczyna nią pracować, bo go już ponosi w obawie, że namiot nie będzie na czas gotowy. Oficerowie, poczawszy naturalnie od najmłodszych, a skończywszy na najstarszych, ciągle podchodzą, a przynaglają, a kontrolują, a poprawiają, a jeszcze to, a jeszcze owo. I tak bez końca. Urwanie głowy.

I przyszyły kobiety... Zaczęły się schodzić po jednej, po dwie, po trzy. Gwałtu. Miejsc nie ma. Buduj dalsze namioty, a tu ani desek na prycze, ani mat, ani słomy. Kobiety przeważnie młode, ot — kilkunastoletnie dziewczęta, piękne dzieciaki, przeważnie je — jak wygnędziałe i wyniszczone po dwuletnich przejściach, ubogie w swoim stroju, ale nadzwyczaj schludne. Są wśród nich i kobiety dojrzałe, żony i matki, których włosy przyprószyła siwizna ciężkich przeżyć, bólów, trosk i mąk. Są dziewczętka, którym szczęśliwa młodość — „chmurna i górna“ — jeszcze nie pozwoliła rozumieć głębi tego, co przeszły. Tym ta młodość — „padała skrzydła“, toteż wyleciały one „nad poziomy“ — ziemskich cierpień.

Kazano kobiety szkolić według specjalnego programu — na wojsko pod wezwaniem Emilii Plater... Nowy kłopot, bo w czym szkolić? Czy w tych pajęczynach przetartych sukienek i resztkach półbuków? To prawda, ale każdy z nas powie, rozkaz jest rozkazem, a wszelkie trudności istnieją po to, by je zwalczać i pokonywać. Wołam więc kwatermistrza i oficera materiałowego i wydaję rozkaz: Umundurować i wyekwipować. Twarze obu oficerów przybrały wyraz podobny do czegoś do czegoś do zakłopotania, a trochę do niezrozumienia ukrytej rozpaczy. Trwali chwilę w tym nastroju, po czym wzniesli powolnie drgającym ruchem ramiona, i rozłożywszy bezradnie ręce, wypowiedzieli jak gdyby wydając ostatnie tchnienie, słowa: „Nie mamy żadnych mundurów“. Ależ do licha. Po co siedzi w „M“ — S. M. I. N.?

No i mundury się znalazły, a to grunt.

Wiadomo, że intendenci nikomu miary nie biorą, zapytali tylko, ile jest kobiet i kazali wydać 121 par spodni, 121 wiatrówek, bielizny, butów, pościeli itd. Wtajemniczonym,



Światliczarki przy pracy

którzy nad cyfrą 121 zechcą kiwać głowami, radzę zaprzestać tego lekceważącego i pogardliwego ruchu, gdyż cyfra ta jest szyfrem. Proszę teraz zgadnąć, ile kobiet przydzielono do O. M. Z.?

I rozpoczęło się kino. Kobiety tonęły w hajdawerach po szyję, a podwinawszy nogawki pod stopy, mogły ich wcale dobrze użyć jako pończoch. Bluzy nadzwyczaj obszerne, wprawdzie udostępniały dostęp powietrza, ale zwiślały bądź to przez prawe, bądź lewe ramię, plecy, lub piersi, potęgując już i tak z natury obfite kształty kobiece. Buty też były o kilkanaście numerów większe od drobnych nóżek kobiecych, ale to wszystko furda, bo, jak słusznie sierżant P. zawyrokuje: „Łatwiej zrobić z dużego małe, niż z małego duże“. Nie dosyć na tym. Prócz mundurów, do dekoracji potrzebne jeszcze były inne akcesoria, jak grzebienie, szczoteczki do zębów, szczotki do ubrania i butów, niezbędniki z igłami, niciami, guzikami i etc., zapotrzebowanie których uwzględniano tylko w znikomej ilości. Wprawdzie kapral Bzdura Hiacynt zaproponował mi, aby wydać po dwie szczoteczki do zębów na namiot (w namiocie po 10 kobiet), ale jakoś, po głębokim rozpatrzeniu tej propozycji, nie mogłem się z nim zgodzić. Ale żarty na bok. Kobiety przysły, kobiety są, zostały zakwaterowane i umundurowane. Rozpoczęło się szkolenie... Gapią się strzelcy, podśmiewając się i dowcipkując; na trzeci jednak dzień, śmiech i dowcipy ustąpiły miejsca krytycznej i rozsądnej ocenie. — „Patrz — mówi strzelec Piątka Franek — ino patrzeć, a one nas wszystkich za parę dni zakasują.“ — Na to kapral Drużynowski sentencjonalnie stwierdził: „Ciebie, Franek, one już zakasowały!“

I potoczyło się życie ochotniczek twardym, bezwzględny trybem wojskowym. Jeszcze ciemno, a już pobudka wyrzuca je spod namiotów. W oka mgnieniu są ubrane, namioty wzorowo posprzątane, już dźwigają w ciężkich wiadrach śniadanie z odległej kuchni, a zjadłszy je, już karnie stają na zbiórkę w szeregach do ćwiczeń. Z zapalem wykonują wszystkie ćwiczenia musztry, a zainteresowanie ich ćwiczeniami polowymi i bojowymi nie ma granic. Chcą wszystko wiedzieć i wszystko umieć, nie chcą być pod żadnym względem gorsze od strzelców i nie chcą im pod żadnym względem ustępować. Po krótkim przejściu wyszkolenia pojedynczego żołnierza, brały ochotniczki udział we wszystkich ćwiczeniach polowych i bojowych pododdziałów. Dumne one były, że mogą ramię przy ramieniu maszerować

ze strzelcami, wraz z nimi wykonywać wszelkie ćwiczenia. Z oczu ich tryska radość z tego powodu, a przy niej iskierka obawy, aby czegoś nie zepsuć, czym by się mogły narazić na lekceważący uśmiech, czy przykrą uwagę. Zważywszy ich siły kobiece, niewspółmierne do sił chłopców, kazałem we wszystkich ćwiczeniach stosować dla nich ulgi, których one z reguły nie chciały przyjmować.

Rozpoczynając szkolenie ochotniczek wspólnie ze strzelcami, miałem pewne obawy odnośnie ustosunkowania się żołnierzy do nich. Były to jednak obawy zupełnie płonne, gdyż, jak to przyszłość wykazała, zachowanie się wszystkich moich kochanych chłopców wobec ochotniczek, było w całym tego słowa znaczeniu rycerskie. Gdziekolwiek mogli, tam zawsze i wszędzie, czy to w obozie, czy na ćwiczeniach, służyli im na wyścigi pomocą, a jako bardziej doświadczeni, również i radą. Takie ustosunkowanie się wprowadzało nas w zdumienie, zważywszy różnicę intelektualną obu stron. Boć przecież chłopcy pochodzili przeważnie ze wsi, podczas gdy ochotniczki prawie wszystkie rekrutowały się ze sfer inteligencji, większość ich ukończyła szkoły średnie, a niektóre z nich posiadały studia wyższe, a nawet dyplomy magistrów i doktorów.. Idą ochotniczki, dźwigają olbrzymie wiadra ze śniadaniem, obiadem, czy kolacją już koło nich jest kilku strzelców, pomagających im je odnieść do obozu... Mozolą się ochotniczki nad rozebraniem zamka karabinowego, już jakiś podoficer lub strzelec pomaga i tłumaczy... nadejdą repetycje w towarzystwie strachu przed egzaminem, to i w tej sytuacji pomoc się znachodzi, bo oficerowie, podoficerowie obkuwają z nimi przedmioty.

Przechodzi oddział w defiladzie, malowniczy, jak mozaika utkany kamykami, różowych buź ochotniczek i ogorziałych twarzy strzelców. Wszystkich oczy zwrócone na przełożonego, i te kobiece, filuternie uśmiechnięte, zdają się mówić: „Ja to też umiem“, a te twarde żołnierskie spojrzenia wołają: „Nie dam się!“ W takt sprężyście wylatują nogi; dziarsko chłonie oddział przestrzeń, i żal się robi, że już ostatnie czwórki przechodzą i że już się skończyło.

Prawdziwą przyjemnością dla ochotniczek były ćwiczenia polowe i bojowe.

Stoję na wzgórku i obserwuję. Wiem, że w myśl rozkazu tą drogą ma przejść patrol. Wytrzeszczam oczy i ani rusz, niczego dojrzeć nie mogę... Biorę więc szkła do pomocy... ten sam rezultat. Aż tu nagle w najbliższym otoczeniu spostrzegam w wysokiej trawie jakiś podejrzany ruch... Jest patrol. Podchodzę i podziwiam... W trawie, doskonale zamaskowany, leży cały patrol. Wszystkie ochotniczki przemoczone do nitki w rosie porannej. Znad ziemi spoglądają ku mnie różowe z wysiłku, szelmosko uśmiechnięte buziaki. Zaobserwowały nieprzyjaciela, meldują, a potem wycofują się niewidocznie, obchodząc skrzydło, aby zajrzeć, co się dzieje na tyłach nieprzyjaciela!

Oddział naciera na wzgórze, obsadzone przez pluton ochotniczek. Już dawno zoczyły podkradającego się nieprzyjaciela, już dawno otworzyły ogień niszczyielski, markując go biciem łyżek w menażki. Jedna z ochotniczek zatyka sobie uszy ze zwróconą do sąsiadki uwagę: „Czemu się tak tłuczesz?“ Sąsiadka, nie pozostając dłużna, rzuca w zniecierpliwieniu odpowiedź: „Przecież wiesz, że jestem celowniczym karabinu maszynowego.“

Przyjeżdżam raz z opóźnieniem z powodu innych zajęć na ćwiczenia i zastałem cały pluton ochotniczek innych zajęć i zabłocony powyżej kolan. Pytam się więc: Przecież dziś jest pogoda, gdzieście się zdążyły tak zabłocić? — „O, mygu niegrzeczny nieprzyjaciel przywitał nas silnym ogniem, musiałyśmy więc tam paść na ziemię, a wiadomo, że glina w połączeniu z wodą tworzy dobrze przylegające błoto“. Im bardziej były przemoczone i umazane błotem, tym lepiej w ich mniemaniu ćwiczenie się udało. Nie było dla nich bagna, którego by nie przebrnęły, potoku, którego by w bród nie przeszły, no i drzewa, na które by, jak kozy nie wyskoczyły; naturalnie, że tę ostatnią zdolność demonstrowały te młodsze i najmłodsze, starsze się przecież kompromitować nie mogły.

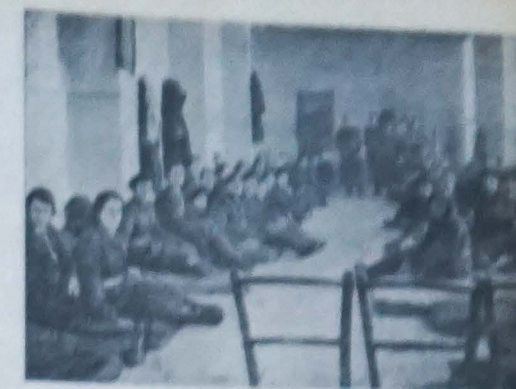
Były wśród ochotniczek, jak na wstępie wspomniałem, dzieciaki siedemnastoletnie, pełne temperamentu i młodości, które wchodziły tam, gdzie ich nie posiał, które się dary o każdy meldunek, by tylko z nim pobiec. Bez tych nie odbył się żaden patrol. Jeden z takich gońców, panna Zdzisia, raz przepadł wraz z meldunkiem. Zrozpaczony dowódca plutonu ochotniczek pół dnia jej szukał bezskutecznie. Poszło biedactwo z meldunkiem wprost przeciwnym kierunkiem, a zorientowawszy się w sytuacji w sześć godzin po skończonych ćwiczeniach z triumfem przyjechało napotkanym po drodze samochodem wojskowym.

Jednego wieczoru zarządziłem alarm. Oddziały, a z nimi także i pluton P.S.K. wymaszerowały na ćwiczenia. Przed odejściem w ślad za nimi obszedłem cały obóz, by sprawdzić w jakim stanie go pozostawiono i czy służba czuwa. Kiedy doszedłem do obozu ochotniczek, przybiega zadyszany dzieciak — ochotniczka, panna Halina i przerażona pyta: „Panie pułkowniku co się stało?, gdzie się one podziały?... Ja byłam w kąpieli.“ Udając poważnego odparłem: „Był alarm, poszły na ćwiczenia nocne“. Pannie mowę odjęło i wreszcie wykrztusiła: „Gdzie — dokąd?“

Opisałem jej krótko i węzłowato drogę. Panna skoczyła, jak sarna do namiotu, złapała furazerkę, pas, chlebak i ubierając się w pełnym biegu zniknęła w ciemnościach. Tyle ją widziałem. A ćwiczenie się przecież bez niej absolutnie odbyć nie mogło. Na ćwiczeniach dowiedziałem się, że panna Halina, dołączywszy szczęśliwie do oddziału zaraz pobiegła do straży przedniej z meldunkiem. Nazywano ją w całym obozie „pilotkiem“, a miała wówczas niespełna siedemnaście lat.

Drugą taką „Kozą“ była ochotniczka panna Zdzisia, także siedemnastoletni dzieciak. Ta znowu z innej beczki. — Była poetką, pisała bardzo ładne, nastrojowe wiersze, nadzwyczaj żywa, zawsze rozbrykana i uśmiechnięta, i bardzo miła w obejściu. Nadzwyczaj uczynna, wypatrująca wprost sposobności, by komuś pomóc, wyświadczyć przysługę. Kochane to dziecko przeszło bardzo wiele po rozmaitych obozach w głębi Rosji, nie załamało się jednak nigdy, przeciwnie, pogodą swojego ducha i swoimi patriotycznymi utworami podtrzymywała drugich. Ojciec jej, który pełnił służbę pod moimi rozkazami, może być dumny ze swojej córy.

Była i trzecia: panna Krysią, w tym samym wieku co i tamte. Pełna temperamentu, kipiąca życiem, żywe srebro, strzelająca wiecznie oczkami nieprzeciętną chęcią, ko-



Na kwaterze w czasie wykładów

mu by jakiegoś figla splatać, kogoś popchnąć, zaczepić, a potem uciec. Nazywaliśmy ją — „Enfant terrible“, od bywała ona kurs razem ze swoją matką i siostrą. Mimo pozornej pustoty, dziecko to traktowało swoje obowiązki bardzo poważnie i była jedną z pierwszych przy egzaminie.

Wiadomo, że zakazany owoc najlepiej smakuje. Było na przykład surowo zakazane spożywanie owoców morwy, z powodu panującej epidemii czerwonki. Heleń jednak wszedłem w rejon obozu P.S.K., tylekroć przylapywałem kilka ochotniczek wysoko na drzewach. Rej tu wodziła jedna z ochotniczek, którą nie chcąc kompromitować, nazwijmy panną C. Właścicielka tego nazwiska, jeżeli czytać będzie te słowa, z wszelką pewnością się domyśli o kogo chodzi. Jedna z ochotniczek o mało nie przyplaciła swojego łakomstwa i tej turystyki drzewnej życiem, spadła bowiem z samego wierzchołka. Na szczęście osunęła się po niższych gałęziach i cała historia skończyła się tylko wstrząsem, a potem burą, a o mało co nie raportem.

Mówiąc o tych najmłodszych, kochanych i rozbrykanych dzieciakach wypada mi również parę słów poświęcić i tym starszym ochotniczkom, matkom i żonom, których włosy przyprószyła siwizna zmartwień, łez, męki i cierpień. Przecież swoje i tragiczne straty swoich mężów, czy synów ukryły one przed okiem ludzkim, w głębi swoich serc, wobec ważniejszych zadań chwili. Ojczyzna w potrzebie, trzeba Jej poświęcić resztę tego, co się posiadało, a więc zdrowie, siły, zapal, silną wolę czynu i czyn sam. Wszystkie one na równi z młodymi znosiły trudy życia żołnierskiego ochotczo, świecąc przykładem całemu otoczeniu. Niech mi wolno będzie wspomnieć o pani Ch., żonie lekarza, której mąż i syn zaginęli bez wieści w Rosji, o siostrze Laurecie z klasztoru jazłowieckiego, która spokojną celę klasztorną zamieniła na twarde życie żołnierskie, o pani S., — magistrze



Namioty 6 komp. P.S.K. w Quizil-Ribat



Taniec góralski

farmacji. Zapomnieć mi nie wolno również o ś. p. Zulaufowej Zofii, żonie generała W. P., której serce nie wytrzymało skutków nędzy i katorgi obozowej, a która zmarła podczas podróży statkiem na Morzu Kaspijskim z Krasnowodską do Pahlewi w Iranie. Nie było już jej danym zobaczyć ziemię obiecaną Iranu, pochowano ją w morzu, wbrew rozpaczliwym protestom córki. Cześć Jej pamięci.

Zaszła raz nocą w obozie P.S.K. kradzież. Ktoś podkradł się pod namiot, którego jedna ze ścian z powodu gorąca była podniesiona i ściągnął z półki 4 pary butów. Przy tej sposobności, spadająca z półki męażka, obudziła kilka ochotniczek, które narobiły wrzasku i puściły się w pogoń za złodziejem. Ten jednak był szybszy od nich i uszedł cało, pogubiwszy po drodze tylko szczołki, schowane w cholewach butów. Od tego momentu ochotniczki musiały pełnić służbę w swoim obozie tak, jak w każdym pododdziale.

Raz po północy przebudził mnie przeraźliwy krzyk kobiety. Wskoczyłem czym prędzej z namiotu i pobiegłem do obozu P.S.K. Tu zastałem już służbowych, oraz pogotowie, przybiegłych tu z pomocą i obroną, które na szczęście były zbyteczne, bo jak się okazało, jednej z ochotniczek przyśniła się jakaś tragedia, co spowodowało ów krzyk i alarm.

Plagą obozu były skorpiony i węże. Ukąszenia pierwszych, były w skutkach swoich bardzo dolegliwe. Jedna na przykład z ochotniczek miała co pewien czas po takim ukąszeniu ataki, połączone z konwulsjami. Takich ataków przeszła kilkanaście, a wycieńczyły ją one w okropny sposób. Kiedy raz, czując się źle, położyła się pod drzewem i zemdlala, wzięłem ją na ręce, by zanieść do namiotu. Była tak przerażająco lekka, że miałem wrażenie, iż niosę małe dziecko. Węże, chociaż przeważnie nie były jadowite, przerażały kobiety swą wielkością, niektóre bowiem z nich dochodziły do 1,5 metrów długości. Przyjemni ci lokatorowie gnieździli się z lubością w szparach ścian gniazd namiotowych ochotniczek, siejąc we dnie i w nocy postrach już samą swoją obecnością. Często spotykało się takiego przyjemniaczka, śpiącego najspokojniej, zwiniętego w kłębek na posłaniu, lub w bucie. Butów nie można było ubierać, bez uprzedniego zbadania, czy w nich nie kryje się skorpion, wąż, karakurt, lub falanga.

Choroby, grasujące w Uzbekistanie, nie oszczędziły również i ochotniczek. Malaria, papadaczi, czerwotka, a nawet tyfus plamisty wyczerpały niejednego organizm, ale o tym obszernie na innym miejscu.

Twarda służba wojskowa, wspólne ćwiczenia z oddziałami, wspólne troski i radości wytworzyły bardzo sympatyczne stosunki w obozie. Wzajemna życzliwość, koleżeństwo i szlachetna rywalizacja kobiet i mężczyzn, były tego objawami. Co tygodnia, we czwartki odbywały się obiady przy stołach, nakrytych obrusami i przybranych kwiatami na placu obozu ochotniczek. Miło było spojrzeć na te stoły, znać na nich było rękę pani domu. Co sobotę urządzano wspólnymi siłami ogniska, których program był nieraz bardzo uduł, stojący na wysokim poziomie kulturalnym i etycznym.

Ile zapału, serca i duszy, ile sentymentu, dobrej woli i dowodów koleżeństwa te kobiety włożyły w swoją pracę, Bóg jeden policzyć potrafi. Zrozumiały one cel, dla którego wstąpiły do armii, dzieląc naszą żołnierską dolę z jej trudami i znojami bez szemrania, a z godnym podziwu poświęceniem. Przeszły one przed wstąpieniem do armii drogę ciernistą, a co je jeszcze czeka zanim powrócą do kraju? Cokolwiek jednak jeszcze nam na tej drodze los zgotuje, jestem głęboko przekonany, że kobiety nasze spełnią swój obowiązek na równi z nami.

Służba u muz — służba dla żołnierza

Cele P. S. K. są różne. Ale pomiędzy tymi różnościami była i służba u Muz dla Żołnierza Polskiego. Referat Kult-Ośw. Dywizji powołał szeregowo P. S. K. (jak one się wtedy zwały) do służby w prowizorycznym teatryku żołnierskim. Nie było pomiędzy nimi artystek o znanych nazwiskach, ale za to były dusze pełne zapału do nowej pracy, były serca gorące. Po czterech miesiącach wegetowania teatryku, dowódca dywizji zwołał rozkazem zebranie organizacyjne Czołówki Teatralnej i powiedział mądre słowa do około 30 laików i 10 pseudo-artystek:

— Formuję z was Czołówkę Teatralną, która będzie w moim ręku jednym z elementów dowodzenia dywizją.

Dowódca dywizji, kończąc dotychczasowe prowizorium teatralne, stwarzał ciągłość pracy Teatru Żołnierskiego dla celów służby dla żołnierza. Musiała zacząć się praca systematyczna w plutonie Czołówki jak w zwykłym plutonie wojskowym. Regulamin Czołówki określał zajęcia od godz. 8—12 i od 14—19. Równe dziewięć godzin. Zaczęła się ta praca w Tatiszczewie, ciągnęła przez kilkanaście dni podróży w Góry Kirgiskie, a w Dżalał-Abad rozpętała się na dobre. Artystki zaczęły smukleć, chociaż jeszcze nie zdążyły nabrać ciała po „rozkoszach“ kołchozów, kamieniołomów, kopalń, posiołków i robót leśnych w puszczech sybirskich.

Kierownikiem Czołówki był sierżant Bulsiewicz, który sam nie dojadł i nie dospał, ale też nikomu ze swych podwładnych nie dał dojeść, a tym bardziej dospać. Artystki

i artyści mieszkali w namiotach — w namiotkach chciałoby się powiedzieć, bo jak wiatr zadął, nie wiadomo, co trzeba najpierw trzymać, żeby nie frunęło: namiot, spódnice i spodnie. Na brak błota nie można też było narzekać, gdyż w promieniu jak okiem sięgnąć — błyszczała beczelnie lepka maziuga — mieszanina deszczu, śniegu i kirgiskiej ziemi. O ile artyści mogli przeskoczyć paroma susami do pokoiku Kwatery Głównej, musiały porządnie wymieszać błoto ciężkimi butami męskimi, z niewyprawionej skóry, na podszwach ze starych opon samochodowych, by dostać się na zbiórkę Czołówki. Do zajęć teatralnych artystek dołączały się jeszcze i normalne zajęcia: alarmy nocne, których wcale nie skapiono, strzelnica wojskowa, odległa o 5 km od miejsca postoju, dyżury obozowe, najmniej godzina ćwiczeń.

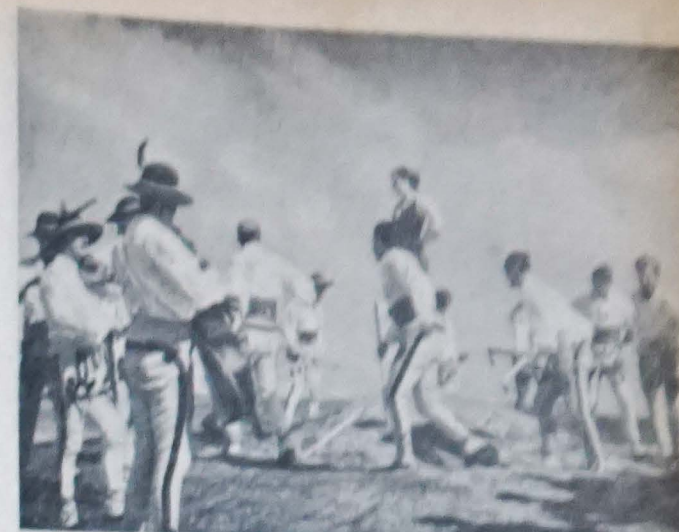
Czołówka Teatralna rozpoczęła swój pierwszy występ publiczny dnia 8 marca 1942 roku i zakończyła go 25 marca, dając w sumie 16 przedstawień w pododdziałach dywizji łącznie ze szkołą podchorążych artylerii w Karasu, odległego o 40 km. Żołnierze przyjmowali Czołówkę gorąco. Dowódca dywizji, widząc wyniki pracy, powiedział: — Czołówka jest potrzebna w dywizji. — Rozkazem dywizyjnym na kierownika Czołówki zostałem powołany — ja.

Za tydzień Wielkanoc. Postanowiłem dać drugi program. — Nie opanujemy pamięciowo tekstu — ozwały się głosy. Artystki przysły mi w sukurs: — „Nie święci garnki lepią“. — Zakotłowało się w tym Wielkim Tygodniu w naszej Czołówce. Już Wielki Piątek i niespodziewana nowina: artystka, która miała recytować wiersz — zachorowała. Jeszcze nie zdążyłem przekląć jej choroby, a tu zgłasza się zastępczyni, że ona podejmuje się w przeciągu 24 godzin nauczyć się na pamięć wiersza 24 zwrotkowego. Ileż tam było zmęczenia w tych sześciu dniach Wielkiego Tygodnia, to było — ale program poszedł. Dywizja miała program świąteczny.

Ochotniczka Zofia Hofer swą recytacją wyciskała łzy spod powiek żołnierskich. Dwa tysiące dłoni żołnierskich biło oklaski, które hukiem lawiny spadały na recytatorkę i w serca Czołówki Teatralnej. Roześmiane twarzyczki tancererek w barwnym krakowiaku z przyspiewkami i fruwiącymi kwieciste spódnice w hołubcach ognistej mazura rozentuzjowały widownię. Wołano: Bis — bis! „Dziewuchy“ ze sceny uśmiechały się i mówiły do zmęczonych partnerów: — Bis dla żołnierzy. — Po bisowaniu tancerki za kulisami rozciągały się ze zmęczenia jak długie, ale usta roześmiane z zadowolenia szeptały: — Ale szło, jak burza!

Z programem tym wyjeżdżaliśmy 9 razy w promieniu 15 km w odwiedziny do pododdziałów. Po południu. Bo do południa opracowywaliśmy nowy program, który miał wejść na scenę już 22 kwietnia. Nowy kierownik postanowił bowiem, że Czołówka będzie odwiedzała żołnierzy co 2—3 tygodnie. Więc trzeba opracowywać nowe tańce, nowe piosenki, nowe skecze, nowe recytacje.

Zaczęły się na dobre chwile górne dla wszystkich członków Czołówki, która rozkazem dywizyjnym została przekształcona na Teatr Polowy. Trzeci program poszedł według planu 22 kwietnia. Na jednym z występów gościliśmy Główną Inspektorę P. S. K., panią Wysłouchową. Debiut ochotniczki Ziuty Druźbowej, naszej „charaktery-



Zbórniki

stycznej“ wywołał na widowni szpazmy śmiechu i wesołości i awansował z miejsca wykonawczynią na ulubienicę, nazwaną „Kordulą“ lub „Ciocią Bandziochową“ według swoich numerów w programie. I znów 9 występów na scenkach polowych po południu, a przed południem przygotowywanie nowego programu.

Na 4 programie 3-majowym na premierze gościliśmy sztab dywizji z nowym dowódcą gen. Bronisławem Rakowskim, przedstawiciele armii czerwonej i naszych zesłańców, grupujących się w okolicy Dżalał-Abad. Na występie w Błagowieszczańce pomiędzy żołnierskimi widzami znajdowała się znana literatka ochotniczka Herminia Naglerowa, przybyła służbowo z Jangi-Jul. Wracaliśmy wszyscy na trzęsącym się wozie po wyboistej drodze wśród ulewnej deszczu nocą, przemoknięci wraz z gościem do nitki. Nazajutrz o godz. 8 cały zespół już opracowywał nowy program.

24 maja już nowy program wołał do żołnierzy: „Halo, tu Warszawa!“ Ochotniczki-artystki, prócz wyżej wymienionych: Korbińska Eugenia, Baczyńska Wanda, Woźniakówna Eugenia, Dammówna Franciszka, Pobereźna Danuśta, Krystman Genowefa — były niezmordowane. Po 10 razy prały stroje z prześcieradeł, po 10 razy prasowały jedną, jedyną imitacją żelazka w namiocie, po 100 razy reparały rozlażący się materiał. Baczyńska Wanda, nie tylko „aktorka“, ale i nasz urzędowy dekorator, pracowała w każ-



Zespół taneczny



„Krakowskie wesele“

dej wolnej od próby chwili, by ze starych gazet sowieckich stworzyć jakie takie dekoracje. I znów 9 występów, aby żołnierzowi dać odpoczynek umysłowy po jego ciężkiej pracy codziennej, aby go oderwać od strasznej pustki, jaka ziała ze skalistych Gór Kirgiskich, aby stworzyć mu bodaj na okres dwóch godzin pozory ciepła ogniska domowego i pozory Ojczyzny.

10 czerwca 6 program: „Serwus Lwów!“ — 10 występów. Ale już przed samym wyjazdem „ciocia Bandziochowa“ ni stąd ni zowąd chwyciła „postrzał“ w plecy. Była obezwładniona. Ale już wozy czekały, trzeba wsiadać. Zdecydowałem się zostawić chorą artystkę i odwołać numer. Na to chora zaoponowała: — Nie ma mowy o odwołaniu numeru. Pojadę. Zaprowadźcie mnie do wozu. — Na upór nie ma lekarstwa. A może to nie upór? Podprowadziliśmy pod ręce „ciocię Bandziochową“ do wozu i włożyliśmy ją na wóz, jak najprzyzwoitszego chorego. 15 km trzął wóz, 15 km jęczała chora z bólu. Na miejscu za kulisami też jęczała, leżąc na kocu. Przed występem zaczęła się ubierać z całym wiadrem łez w oczach. Kurtyna poszła w górę i „ciocia“ grała, jakby nigdy nic. Po 20 minutach, schodząc ze sceny — zemdląca. Jeszcze jeden występ tegoż wieczora — i jeszcze raz powtórzyła się ta sama historia. Kosztem niezwykłego przewartościowania swego bólu ochotniczka spełniła swój obowiązek, zamieniając swoje łzy w serdeczny śmiech widowni. Sama też się śmiała prawdziwym śmiechem przez łzy.

29. VI. — ofiarowaliśmy VII program „Polsce w Święto Morza“, a w programie dwuaktowa sztuka ludowa ze śpiewami i tańcami „Swaty“. Dekoracje Wandy Baczyńskiej i strzelca Berdyszaka ze starych gazet sowieckich. Dekoracje: część chaty chłopskiej, płot i kawałek ogródka ze słonecznikami — z makulatury. Było trochę pracy, prawda? Zwłaszcza, że dekoratorka występowała równocześnie w chórze, w balecie i jako artystka. Występów mieliśmy 10.

27. VII. — ostatni program na ziemi sowieckiej: „Z wojenką do Polski“ — 9 występów.

Miesiąc podróży do Iraku przez Iran — miesiąc odpoczynku dla zespołu. Na Pustyni Irackiej dalszy ciąg pracy. Wystąpiliśmy z kombinowanym programem w centralnym obozie w Mulla-Azis.

15. IX. już nowy program: „Wesoła rocznica“. Rocznicą powstania wojska polskiego na Wschodzie. Artystki w chwilach wolnych od zajęć, a więc w porze obiadowej

i wieczorem przeistaczały się w szwaczki. Bo tu już można było kupić materiał na kostiumy i już trzeba było wystąpić inaczej przed żołnierzami. Ledwie mogły zdążyć te artystki na capstrzyk do swoich namiotów. Cały dzień tkwiły na posterunku w teatrze. Szyły, lały, przymierzały, kombinowały, mimo planową pracę, teatr nie miał żadnych subwencji materialnych. O każdy filś trzeba było kołatać aż do znudzenia. Sztukowało się własnymi pieniędzmi. Na pracę Teatru Polowego patrzyli żołnierze z sąsiadujących z nami namiotów i niejednokrotnie wyrażali zdumienie, że wymaga to tyle trudu. Była to dla nas wielka pochwała. „Wesoła rocznica“ poszła 7 razy.

Z nowym programem wystąpiliśmy 30. IX. „Niech żyje RAF“ powtarzaliśmy 10 razy.

Oprócz tego zapraszali nas sąsiedzi: angielski szpital wojskowy w Khanaquin, polski szpital wojskowy, obóz Mulla-Azis. W jednym ze szpitali estrada ubita była z ziemi, nierówna i słabo oświetlona. Zwróciłem uwagę ochotnicze Łozińskiej Helenie, nowej adeptce teatru, aby uważała podczas tańca, gdyż może nogi połamać na nierównym gruncie. Odpowiedziała: — Ja dla żołnierza będę i na dachu tańczyć. — Powtórzyłem całą tę historię widowni, zapowiadając występ Łozińskiej. Grzmot oklasków powitał moje oświadczenie, a już cyklon braw witał autorkę tych słów. Chorzy na widowni szaleli od braw jak zupełnie zdrowy pułk carrier'ów.

24. X. nawiązaliśmy łączność z Brygadą Karpacką. Przedstawienie zaszczylił swoją obecnością gen. Kopański i ubawił się serdecznie.

Wreszcie 11 listopada w XII programie teatr wystawił „Wesele“ Wyspiańskiego wobec skał Pustyni Irackiej, obiadłych przez 11 tysięcy żołnierzy polskich. Wszystkie stroje szyły artystki Teatru Polowego. Były to pożegnalne występy Teatru Polowego Dywizji. Następowala reorganizacja dywizji.

Pisząc o tym dziale pracy ochotniczek P. S. K. trzeba stwierdzić, że spełniły one swój obowiązek ponad normę przewidzianych zajęć wojskowych. 117 przedstawień w 210 dniach pracy, nie licząc miesiąca podróży do Iraku!

Jan Druźba

Koleżanki, czytajcie i rozpowszechniajcie nasze pismo „Ochotniczka“!

Wiersze o P. S. K.

UŚMIECH NA PUSTYNI

*Twój uśmiech w cichym niebie jak motyl zawisnął,
W poprzek skwarnej pustyni biegnąc do Tygrysu,
Twój uśmiech w cichym niebie jak motyl zawisnął,
Którego słońce ciepłym pocałunkiem muska.*

*Twój uśmiech — romantyczna panno białoruska —
Jak cząbrem i lawendą — pachnie Wileńszczyzną,
I w chabrowych Twoich oczach zakwita Ojczyznę
Co płynie wspomnieniami nad piaszczystą pustką.*

*Czego szukasz w tym świecie, gdzieśmy się zgubili
— Na bezdrożach historii błędne karawany —
Tęsknotą oplatając koła gwiazdnych wozów?...*

*Czemu tęsknisz do rzędu wierzb, białych od mrozu,
Gdy przy kominku wstają z kartek zapomnianych
Czar Ludwika Śniadeckiej i uśmiech Maryli.*

Wiktor Szyryński

SZLAKIEM KRZYŻOWCÓW

*Wiekami zmurszałe glazony granitów,
Święcą nagością, i w słońcu promieniach
Pną się do góry wyrzwały cyprysów,
Prosząc o miejsce w turysty wspomnieniach.*

*Skalo wieczyste, co milczysz zakłętą,
Chłodnym spojrzeniem prowadząc przechodnia,
Przemów i rozgłoś, że polskie dziewczęta
Łosem tudaczym jeździły tu co dnia.*

*Przemów i powiedz, że szlakiem krzyżowców,
Co bojem, co szturmem dla Pana cię brali,
Szła ku zwycięstwu Rodzina Wędrowców,
Błagać o wolność, niosąc serca w dani.*

Zygmunt Łoś

JUNACZKI

*Przed chatą rosły malwy, a w chacie dziewczęta,
Niby zboża złociste w migocie bławatów,
Róże — jak ich policzki — czerwone, pamiętasz?
Szły przez Polskę szczęśliwą — niby pochód kwiatów!
W ogródek wbił się pocisk, krwią skropiono róże —
Z bławatów łza spłynęła, gorzka i piekąca —
„Niech Bóg ma Was w opiece!“ Cień ojca na murze.
Zahuczał motor — wzięli ich przed wschodem słońca.
Jak saksauł stwardnieli zasadeni w piaski,
Zaden wiatr ich nie złamał, a wiatry potężne.
Bilo ostrze siekiery aż leciały drzazgi.*

*Nie mężczyźni — to były dzieci bezorężne.
Z każdą wiosną północną nad śnieg jak pierwiosniki,
Czekające na oddech wiatrów od zachodu,
Z każdym wbiciem łopaty dalej od swej wioski,
Oczy w mgłach zatoneły — płakały ogrody.*

*Gromy co były w Anglię, runęły na Rosję,
Armia wytryśła z ziemi — a sztandar nad armię,
Dziewczęta — oczu błękit na sztandar podniosły,
Umarłych z głodu matek, córę, wzięłaś armio!
Wiatr co szumiał nad Polską zaśpiewał w sztandarach,
Pod którego skrzydłami spłynęły do Persji.
Wiara góry przenosi, przeniosła je wiara.
Wolnością wskrzeszy serca jak komunią pierwszą.*

*Rosną ku chwale Polski, sprężyste jak sosny,
Nauka je unosi od wiosny do wiosny,
Ożyły — ich policzki niby pomarańcze,
Runęły tańcem dziewy, kwiaty niebem tańczą.*

Stefan Legeżyński

Seweryn Ehrlich

POLSKA STRZECHA



Chalupa
łowicka malowana

Związani jesteśmy całym naszym życiem z domem, tak jak z ziemią i Ojczyzną. Dziś, gdy mierzymy szlaki, wytyczone na całym świecie przez historię wojny obecnej, wszędzie, dokąd niesie nas tułaczka dola, spotykamy świadectwo prawdy, że „tu był Polak“. Gdziekolwiek, przez wieki z dala od ojczyzny bezdomny Polak walczył i trudził się, siłą, która dokonywała w nim cudów i trwać mu pozwalała, była wiara i wola, „że wrócimy do domów i będziemy Polakami“. Borem i lasem szedł żołnierz napoleoński do swego domu do Polski. W gwarnej stolicy świata, w Paryżu tęsknił

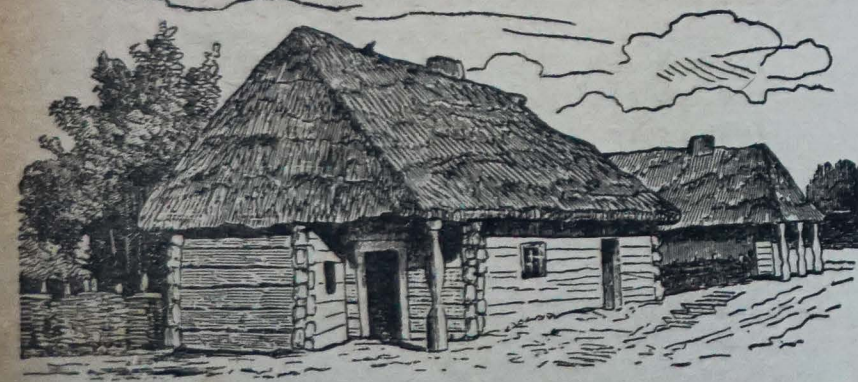


Chalupa kurpiowska z Puszczy Myszynieckiej

do niej Mickiewicz i czekał, jak my najradośniejszej chwili życia:

„Kiedyż nam Pan Bóg wrócić z wędrówki dozwoli,
I znowu dom zamieszkać na ojczystej roli.“

Dom nasz jest z nami wszędzie, na całym szlaku naszej drogi, na wielkich ulicach Londynu, w zagubionych stepach Rosji, wśród piasków i palm pustyni. Codziennie stajemy marzeniem w samym jego środku, włączamy się w życie codzienne domu i mówimy z nim zrozumiałą mową dnia powszedniego. Nieważne, czy był wielki czy mały, zawsze dla nas był dość obszerny, a choć często swarny i w swojej powszedniości ciasny, nam drogi i bliski, bo wchłonał w siebie wieki domowego bytu i obyczaju. Dom nasz daje nam



Chalupa kujawska z podcieniem

poczucie siły własnej, która tkwi u podstawy naszego bytu — wiąże rodziny nasze z Ojczyzną, dla której wielkim domem jest własne państwo. Na pewno przy ognisku rodzinnym grzali się i skupiali dla odpoczynku i narady nasi pradziadkowie, gdy jeszcze jako rody i plemiona na ziemi naszej osiadłe, radzili o sobie. Nie wiemy jak mieszkali; Słężanie nad Słężą, Polanie nad Gopłem i Lednicą, Wiślanie nad Wisłą, Pomorzanie nad brzegami Bałtyku, Mazowszanie na Mazowszu, plemiona na Rusi Czerwonej i na kresach Rzeczypospolitej. „Dla człowieka pierwotnego, który sypiał pod drzewem, lub na drzewach, w jaskiniach lub dołach, pierwsza buda z drzewa, lub kamieni zrobiona była takim samym arcydziełem, jakim były później jego świątynie i pałace“ (J. Rozwadowski). Stara jak świat strzecha, zakrywała od deszczu i wiatru najstarsze jaskinie i nory mieszkalne jeszcze pod ziemią schowane. Gdy zagłębimy do kroniki życia, którą jest język i nazwy w nim zapisane, dowiemy się, że wszystkie pierwsze osiedla na ziemi budowane, były ogrodzone zapewne tak dla oznaczenia granicy dzielącej poszczególne domy rodzinne od „sąsiada“, jak i dla obrony przed nieprzyjacielem. Grody obronne, jak wszędzie, stanowiły cechę ustroju Słowian. Każde plemię posiadało ich kilka. Były to schroniska dla osiadłej ludności, otoczone wałami, rowem i palisadą z bierwion. Do dziś dnia nazwy Grodzisk, Grodzisko, Horodyszczce, Grójec, wskazują na miejsca, gdzie niegdyś stał gród obronny. Tak samo mówią o tym dzisiejsze miasta, dawniej *grodami* zwane, które wyrosły jako podgrodzia z osad skupionych około miejsca obronnego. Zatraciło się pierwotne znaczenie wyrazu „chalupa“, który dawniej to samo co dziś i zagroda oznacza — było to miejsce ogrodzone z plecionego płotu (do dziś żyje w narzeczach „chalpa“ — plecionka). Z tego samego rodu, co *gród* i *zagroda*, wywodzą się *ogrody* i *ogrodnik*, a nawet *nagroda* określa dar dla zasłużonego człowieka, który otrzymuje ponad mienie ogrodzone, ponad zwyczajne należne mu dobro. Sędziwe i dostojne dwory rozszerzyły także znaczenie, pierwotnie nazywały się tak tylko ogólnie miejsca mieszkalne za *wrotami* czyli *drzwiami*, których nazwa pochodzi z tego samego rdzenia językowego co *dwór*. Zasobne dziś chaty wyrosły z ubożuchnej, skleconej byle jak budy i dowodzą swym pierwotnym znaczeniem początku żmudnego wysiłku budowania pierwszych domów. Przywędrowały one wraz z nazwą ze Wschodu z kultury irańskiej, gdzie do dziś np. w języku perskim wyraz „kada“ oznacza dom. U nas zasadniczo chata w języku odpowiada lepiance na ziemiach wschodnich, natomiast chalupa jest właściwą nazwą wiejskiego domu na zachodzie Polski. Zachowała też chalupa w swej budowie bardzo stary charakterystyczny przedsiónek u wejścia, wsparty na słupach tzw. podcienia lub przyłapy.

Gdy plemiona, które zamieszkiwały ziemię Rzeczypospolitej zrosły się pod wpływem organizacji państwowej w jeden naród, wniosły także do wspólnego dobra odmienne cechy swego budownictwa, które wyrosły z warunków naturalnych i do dziś zachowały się w różnych okolicach Polski. Polska jest nie tylko polna, ale i leśna. Pole czyli ziemia dała na chatę kamień, na lepiankę glinę i pręt,

a lasy dostarczyły szczerze drzewa. Zależnie od budulca na jednych ziemiach Polski są chaty wiązane z okraglaków z drzewa, na innych sklezione z kamienia, albo lepione z gliny jak na Podolu ubogim w lasy. I dwory możniejszych, do których o wiele szybszymi krokami dochodziły nowe czasy, wynalazki i mody, zachowały również jak wszystkie domy wiejskie rozkład i plan podyktowane przez słońce, wiatr i warunki życia rolnika. Drzwi główne u wejścia i chalupę na dwie równe połowy. Sień najczęściej dzieli dwór życie mieszkańców na to odświętne, wystawnie urządzone w świetlicy i na codzienne, pracowite z dnia powszedniego utkanec. Ten warsztat pracy codziennej znajduje się po lewej stronie domu w izbie (czarnej przez lud zwaną) skromnej, często zawalonej gratami, gdzie rodzina wiejska troszczy się i zмага o codzienny chleb w pocie czoła. Na Niżu w zachodniej części Polski na ziemi śląsko-spiskiej i kujawsko-pomorskiej zachowały się najstarsze jednoizbowe typy chat, do których wchód umieszczony w ścianie szczytowej pod przyłapem, a prowadzi z drogi wprost do sieni, po czym do dalszych izb. Ze Śląska, chalupy jednoizbowe powędrowały wzdłuż Karpat ku wschodowi; spotkały się na Podolu z obronnymi chatami z kamienia lub gliny. By szczęście za gościło pod naszym dachem czy strzechą, a progi domu omijało złe, które na „dworze“ czyha na człowieka, trzeba wybrać szczęśliwy dzień i miejsce na zakładziny domu. Nie wolno zaczynać pracy przy budowie w poniedziałek, bo się wieść nie będzie, ani budować się przy starej drodze, gdzie krążą złe duchy. Zdrowe i bez okragłych sęków powinno być drzewo, ścięte w lesie w wiadomej porze, a już biada domowi, w którego ścianach są belki z drzewa rażonego piorunem. Pierwszy zły zacios może spowodować śmierć mieszkańców domu. Sute poczęstunki przy stawianiu podwalin domu, usposabiają życzliwie cieśli i majstrów, a dobra wola towarzyszy dziełu ludzkich rąk i promieniuje później ze ścian domu na życie mieszkańców. Gdy dom podciągnięty pod dach, zatykają budowniczy wiechę, gałązkę lub drzewko ozdobione wstążkami. Zielenią młodości ma zawsze krzewić się życie w tym domu!

Przenosiny mają do nowego domu wprowadzić dobrobyt i obfitość. Dlatego najpierw wnosi się na gospodarstwo chleb i sól, aby ich tu nigdy nie zabrakło, potem pieniądze, śpiewnik i krzyż, by nie czary, ale Bóg rządził domem.

Głęboka wiara ludu, że życzliwość ludzka jest prawdziwą pomocą i pomostem wiodącym od człowieka do człowieka, wypowiada się w obyczaju przy „zakładzinach i przenosinach“. Cała wieś na „tłoce“ tańczy i śpiewa gromadą, jakby siłą swej radości zapewnić chcieli sąsiadom pomyślność. W chwili, gdy osiadają na „własnych śmieciach“ przynoszą ze starego domu na nowe gospodarstwo ogień, rozpalają uroczyście pierwsze ognisko.

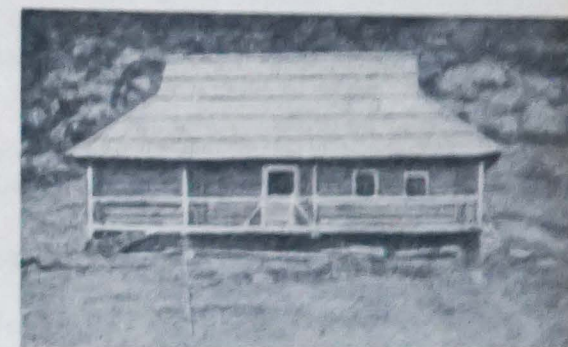
Rozpoczynamy wędrówkę po Polsce. Rozwija się przed nami, jak na filmie wstęga różnobarwna naszego życia i obyczaju. Przeżywamy i poznajemy, na czym polega istota rodzimego piękna wsi polskiej, która od wieków kształtowała nasze życie i dusze. Jak wszędzie i we wszystkim, piękno leży w harmonii i w zgodzie z tworzywem, czyli materią, z której powstało. Domy polskiej wsi wyrosły z nakazu ziemi i odziedziczyły rysy swej matki. Stąd budownictwo



Chalupa góralska zakopiańska

wiejskie wiąże się z charakterem krajobrazu, stąd warunki ziem Polski wpływały nie tylko na budulec i rozkład domu, ale także dyktowały wnętrze, kształt i rozmieszczenie sprzętów.

Na skalnym Podhalu i na wysokiej Poloninie huculskiej stoją chaty drewniane, doskonale w swej proporcji i symetrii, jakby je góry podarowały swoim ludziom. Mówią one o nieskrępowanej wyobraźni wolnego ludu, który swą kulturę pierwotną przyniósł z szerokich szlaków pasterskich i zaklął ją w załamany kształcie drewnianego dachu, za-



Chalupa góralska na Huculszczyźnie

kończonego pazdurem (ozdobą szczytu), w przesłiczej podkowie, lub kwadracie drzwi naznaczonych rysunkiem słońca — życiodajnego bożycza. Chaty górskie, jak dworzyszczka, ogrodzone są drewnianym płotem albo wysoką szczelną ścianą z bali drewnianych, z bramą — worynią — zamkniętą dla wroga, a gościnnie otwartą dla przybyszów z „dołów“. Leśny lud Kurpiów odwiecznie żyjący w puszczy nie zalał drzewa. Zbudował sobie przestronną, mocną, nisko przywartą do ziemi chatę, nakrytą dwuspadowym dachem, ze śparogiem nad szczytową, misternie ułożoną ścianą, któ-



Chalupa kaszubska na Pomorzu

ry jak podhalański pazdur, wyrasta kogutkiem, lub zygziem i odgania złe, co z wiatrem się niesie.

Zbożne — obfite w chleb Kujawy, prowadzą wprost z gościńca gości do sieni, a potem do izby i do sadu chłodnego w opłotku. Na zielonym Podkarpaciu spotkały się drewniane chaty z lepiankami i kamiennymi chatami Podola z przyzbą czyli ławą szeroką, pod oknami, przy ścianie wejściowej umieszczoną. Gościńiec, nie zawsze bity, sprowadzał od wieków do naszych wiejskich domów kupców i podróżnych, którzy zdrożeni daleką drogą zażywali gościny w gospodzie, czyli w bogatym domostwie gospodarza i zostawiali gościńce — nieznanne tu sprzęty, narzędzia pracy. Nasz lud nie przyjmował na ślepo tych wzorów. Własnym przemysłem przetwarzał te nowości, które podpatrzył u obcego przybysza, w szlacheckim dworze, albo w klasztorze u gospodarnego przeora i uczył się nowych sposobów budowy i lepszych metod pracy. Nieraz przynosił ze sobą

Kobieta, która przeżyła wielkie życie

O kulturalnej misji kobiet w dziejach świata, która zresztą zawsze była ogromna, aczkolwiek uczestniczyły w niej pośrednio, można by pisać wiele i szeroko; o tym wie każdy inteligentny człowiek.

Cały szereg nazwisk mówi o sławie kobiet w dziedzinie naukowej. I cały szereg kobiet, jak świadczy historia, było władczykami „niekoronowanymi“.

Zresztą, po co sięgać w głąb wiedzy, po co sięgać w zakamarki skomplikowanej dyplomacji?

Życie codzienne mówi nam bardzo wiele. Wszak każdy mężczyzna przed powzięciem decyzji radzi się bądź z matką, bądź z żoną, bądź z siostrą. I nie czynią tego szarzy ludzie, zwykli śmiertelnicy, ale ulegali temu ukrytemu prawu prawie wszyscy królowie i wielcy mężowie stanu.

„Jeśli mam przedsięwziąć ważną sprawę, zawsze myślę, co by o tym powiedziała moja matka“ — mówi nasz Wielki Marszałek Piłsudski.

Wpływ kobiet był więc niejednokrotnie twórczy i pozytywny, ale kobieta nie występowała oficjalnie. Kobieta była tylko ukrytą sprężyną, która zręcznie wprawiała w ruch aparat życiowy. I tak było w czasach naszej „niewoli kobiecej“, kiedy kobieta za ścianami przysłuchiwała się, jak ważą się losy narodu i mogła zaglądać jedynie przez szpary, co dzieje się na szerokim świecie. Dziś kobieta posiada pełnię praw i występuje otwarcie na arenie świata, biorąc udział we wszystkich przejawach życia.

Kobieta to większość narodu; staje do walki o prawa i udział w życiu państwowym na równi z mężczyzną — w decydujących chwilach wykazuje dużo energii, bezinteresowności i zdolności, oraz gotowości do większych ofiar niż mężczyzna, a jeśli stoi na wysokim poziomie moralnym i intelektualnym wnosi w życie nową, świeżą siłę, której często brakuje mężczyźnie. Siła ta, to czynnik etyczny, czynnik spokoju i równowagi oparty o dynamizm moralności i o rzeczywisty idealizm.

Udział kobiety był, jest i będzie zawsze niezbędny

pożyteczne wieści ze świata żołnierz, który wracał z wojenki dalekiej. Dom wsi polskiej jak nigdzie na świecie przyjął piękno Wschodu i Zachodu i związał go ściśle i mądrze z narodowym charakterem życia i sztuki. Wszystko, co w swym wnętrzu i w swym kształcie kryje chata czy dwór, ma tyle w sobie zdrowego sensu i prawdziwego piękna, że może nim na długie lata obdarzyć całą Ojczyznę, rozwinąć z dawnych kształtów nowe postacie w budownictwie i sprzętach — stać się natchnieniem dla budowniczych w przyszłości.

Wrócimy do naszych domów i powitamy ich słowami poety:

O Boże, pokutę przebyłem
I długie lata tułaczę,
Dziś jestem we własnym domu
I krzyż na progu znaczę.

Dr Janina Pilatowa

w życiu społecznym, gospodarczym i domowym — na każdym odcinku życia, który wymaga ofiarnej, rzeczowej i solidnej pracy.

Kobieta wywiązuje się z pracy wzorowo, nie w imię swoich praw, lecz w imię dobra swojego narodu, a nawet całej ludzkości.

Wszystkie ochotniczki wiedzą o Marii Curie-Skłodowskiej, światowej sławy uczonej, naszej wielkiej rodaczce, jednej z największych dobroczyńców ludzkości, ale mało ochotniczek słyszało zapewne o Angielce, Florencji Nightingale.

Florencja Nightingale zasłużyła sobie idealizmem, swoją ofiarnością i oddaniem życia całego dla Sprawy, aby imię jej znalazło się na łamach polskiego pisma kobiecego, zrodzonego w zawierusze wojennej, w zwartych obozach P. S. K.

Kim była właściwie ta kobieta i jakie są jej dzieje?

Urodziła się w zamożnej i kulturalnej angielskiej rodzinie dnia 12 maja 1820 r. Nadzwyczaj starannie wychowana i wszechstronnie wykształcona przewyższała znacznie poziom wykształcenia ówczesnych Angielek. Władza kilkoma językami, znała matematykę i nauki przyrodnicze, przy tym była niepospolicie piękna i pełna wdzięku. Florencja piękna i utalentowana, mimo, że była „duszą balów“ i mimo, że pokochała mężczyznę godnego ze wszech miar jej miłości i darzącego ją gorącym uczuciem, nie wyszła za mąż.

Powołanie wskazywało jej inną drogę — drogę ofiarnej niesienia pomocy i radości nie jednemu człowiekowi, ale całym tłumom zboliałych i stroskanych chorych. W tym celu więc zwiedzała szpitale w Anglii, Szkocji, Irlandii, Brukseli, Paryżu i Aleksandrii. Podróże te przekonały ją, że szpitalnictwo stoi na bardzo niskim poziomie, że chorzy nie mają należytej opieki pielęgniarskiej, wobec tego postanowiła tę opiekę udoskonalić i po prostu przeprowadzić całkowitą reformę ówczesnego pielęgniarstwa.

Aby jednak dobrze swoje zadanie wykonać, samo po-

wołanie i dobre chęci nie wystarczą — trzeba się uczyć i posiadać pewną sumę wiedzy i umiejętności. Florencja jedzie do Paryża — gdzie odbywa gruntowne przeszkolenie w zgromadzeniu sióstr miłosierdzia św. Wincentego á Paulo.

Po powrocie do kraju marzy o założeniu szkoły dla pielęgniarek, ale tu spotyka się ze sprzeciwem ze strony swej rodziny, która twierdzi, że to zawód wstrętny i że żadna przyzwoita kobieta nie powinna się tym zajmować. Taką była zresztą opinia ówczesna o pielęgniarkach.

Po wielu walkach z rodziną obejmuje Florencja kierownictwo domu zdrowia dla nauczycielek i na tym stanowisku wykazuje niezwykle zdolności organizacyjne tak, że gdy w roku 1854 wybuchła wojna krymska, rząd proponuje jej zorganizowanie opieki pielęgniarskiej w szpitalach na froncie.

Florencja wreszcie znalazła pole działania i czuje się szczęśliwą.

Jedzie do Skutari. Szpitale przepełnione rannymi mieszczą się w olbrzymich barakach, dusznych, cuchnących, pełnych brudu i robactwa. Ranni, tyfusowi i choleryczni leżą na barłogach stłoczeni, nie ma bielizny, ani pożywienia, ani żadnej opieki. Lekarzy znikoma liczba — a pielęgniarki?! kobiety bez kwalifikacji, najczęściej niechlujne i rozwiązałe tak, że ten piękny i ze wszech miar ofiarny i godny szacunku zawód jest w ogólnej pogardzie u prawie całego społeczeństwa. Nikt nie poczuwa się do odpowiedzialności mimo ogromnej śmiertelności wśród rannych i chorych.

W takie „przeklęte piekło“ wstępuje Florencja Nightingale wraz z przeszkolonymi przez siebie pielęgniarkami, ze zapasami żywności, środków opatrunkowych i lekarstw.

Sama staje do pracy, świecąc przykładem dobroci, serdeczności, delikatności i energii i pociąga za sobą cały zespół kobiety.

Powoli sale rozjaśniają się czystością, ładem i porządkiem — rozdziela chorych zakaźnie i rannych — polepsza odżywianie, stawia kuchnię i pralnię. Wymaga dyscypliny i ciężkiej pracy, będąc równocześnie apostołem miłosierdzia i wzorem najczystszy.

Kiedy po całodziennej pracy lekarze udawali się na odpoczynek — Florencja, jak anioł stróż przesuwała się wśród chorych bezszelestnie, a zjawiała się zawsze tam, gdzie śmierć już stała nad lożem i gdzie choroba była najgroźniejsza. Toteż żołnierze podziwiali, kochali i obdarzali najwyższym szacunkiem kobietę, która była im przyjacielem, matką i opiekunką.

Jako dobry psycholog i organizator pamiętała i o stronie duchowej chorego, założyła czytelnię dla żołnierzy i zorganizowała wykłady z rozmaitych dziedzin wiedzy.

W przeciagu krótkiego czasu Florencja „z podłego, przeklętego piekła“ tworzy świetnie postawioną placówkę leczniczą, w której jest „świątecznie, jak w kościele“.

Jej działalność na froncie nie ogranicza się tylko do Skutari. Florencja jedzie na Krym, staje w obozach angielskich i francuskich, dociera do najdalej wysuniętych i niebezpiecznych placówek.

Spółczesność zdaje sobie w zupełności sprawę z działalnością i poświęcenia Florencji i ofiarowuje jej piękny dar, mianowicie tworzy tzw. „Fundusz Nightingale“, który umo-



żliwia jej zorganizowanie wzorowej szkoły pielęgniarstwa.

Powstaje więc sumptem składek społeczeństwa a przede wszystkim zasługami Florencji pierwsza szkoła pielęgniarek w Londynie. Zaś w roku 1860 królowa Wiktoria przeznacza 71.000 funtów szterlingów na wzorowy dom pielęgniarek, kolebkę współczesnego pielęgniarstwa naukowego tzw. „Home Nightingale“.

Florencja teraz energicznie wprowadza tutaj swoje reformy, na których opierają się obecnie wszystkie na świecie a więc, i polskie szkoły pielęgniarek.

Wkrótce idee Nightingale przyjęły się we wszystkich częściach świata; Europie, Ameryce, Japonii itd.

Głosiły one, że każda pielęgniarka musi posiadać odpowiednie wykształcenie ogólne, wysoki poziom moralny, etyczny — przede wszystkim usposobienie i uzdolnienie, którego głównymi cechami jest wielka cierpliwość, wytrwałość, umiowanie porządku, czystości i punktualności, a poza tym pielęgniarka powinna mieć gruntowne przygotowanie fachowe.

Dzięki tym hasłom stała się Florencja Nightingale twórczynią współczesnego pielęgniarstwa. Jej energiczna i pełna poświęcenia działalność w czasie wojny krymskiej była bodźcem do założenia pięknej i tak bardzo potrzebnej organizacji jaką jest Czerwony Krzyż. Założycielem wprawdzie Czerwonego Krzyża był Jean Henry Durant, ale Florencja dała podwaliny pod tę instytucję, co zresztą przyznaje sam Jean Henry Durant.

Florencja dożyła 90 lat, ceniona, szanowana i czczona. Bóg pozwolił jej do zrealizowania marzeń szlachetnych niesienia pomocy cierpiącej ludzkości — „nic dla siebie, wszystko dla bliźnich“.

stawiciele Lotnictwa Królewskiego i W.A.A.F oraz liczni dziennikarze brytyjscy, którzy przybyli na uroczystość zakończenia kursu, wyrazali się z najwyższym uznaniem o postawie dywizjonu, doskonałych wynikach osiągniętych po 7 tygodniach przeszkolenia oraz o dyscyplinie i starannym wyglądzie zewnętrznym ochotniczek.

Miara tego uznania stanie się tym większa, gdy weźmiemy pod uwagę fakt, iż rozpiętość wieku w dywizjonie jest od 18 do 44 lat, że służy w nim kilka matek z córkami, że wreszcie każda niemal ochotniczka ma za sobą ciężkie i bolesne przeżycia ostatnich czterech lat. Fakt, że kobiety te potrafiły poddać się surowemu rygorowi szkolenia brytyjskiego W.A.A.F. i przeszły je z bardzo dobrym wynikiem, jest dowodem wielkiego z ich strony wysiłku, którego motyw był tylko jeden — pragnienie służby w Polskim Lotnictwie.

IX KURS REKRUCKI P.S.K. W SZKOCJI. W styczniu 1944 r. odbyło się w obozie Pomocniczej Służby Kobiet w Szkocji zakończenie IX kursu rekruckiego, wśród którego znalazły się po raz pierwszy przedstawicielki Polonii z Kanady, Stanów Zjednoczonych, Argentyny i Urugwaju. Absolwentki kursu zgłosiły się do służby w lotnictwie i marynarce.

OCHOTNICZKI P.S.W.K. W WASZYNGTONIE. Ochotniczki P.S.W.K. i junacy po

spędzeniu pięciu dni w centralnym obozie wyszkolenia dla kobiet amerykańskich powrócili do Waszyngtonu, gdzie odbyło się przyjęcie w Polskim Klubie. Delegacja złożyła wizytę w Departamencie Wojny, po czym posłowie do Izby Reprezentantów zorganizowali dla gości polskich przyjęcie w restauracji Kongresu. Ochotniczki informowały o położeniu armii polskiej, o swej pracy w P.S.K. i swych przeżyciach. Przyjęcie to stało się okazją do przejawienia ze strony parlamentarzystów amerykańskich gorących uczuć sympatii dla Polski.

Znana dziennikarka amerykańska Helen Lombard, która na łamach „Washington Post” zamieszcza codzienną kronikę towarzyską pod nazwą „Wartime Washington” (Waszyngton w czasie wojny) poświęciła w ub. środę całą swoją tak popularną szpaltę wizycie ochotniczek P.S.W.K. na Kapitolu, opisując dokładnie ich rozmaite przeżycia i doświadczenia. Helen Lombard podkreśla zainteresowanie, jakie dziewczęta polskie wzbudziły wśród kobiet zasiadających w Kongresie i streszcza ożywioną rozmowę polityczną, zwłaszcza z wybitną pisarką amerykańską, członkinią Kongresu Claire Luce.

ANGIELKA O POLSCE I POLKACH. W Birmingham, jednym z największych miast przemysłowych środkowej Anglii, odbyło się w dniu 11 stycznia 1944 r. ze-

branie inauguracyjne miejscowego Towarzystwa Angielsko-Polskiego. Ze względu na to, że w mieście przebywa nieliczna grupa Polaków — studentów na miejscowym uniwersytecie, przeważającą większość grupy kilkuset zebranych osób stanowili Anglicy.

Dame Elisabeth Cadbury, 85-letnia starszka, seniorka jednej z najznakomitszych rodzin miasta, obrana została prezydentem honorowym. Wśród uczestników zebrania znalazły się czołowe osobistości Birmingham, m. in. kilku profesorów uniwersytetu z wice-kanclerzem na czele.

Pośród innych mówców głos zabrała Dame Elisabeth Cadbury, której przemówienie zawierało wiele wzruszających momentów. Oświadczyła ona, że, jako starszka, przypomina sobie minione dzieje męczeństwa Polski i ani na chwilę nie traci wiary, że Polska odegra w przyszłości wielką rolę. Jako członkini licznej organizacji kobiet brytyjskich, którą reprezentowała w Genewie, zetknęła się z kobietami polskimi na terenie międzynarodowym i stwierdzić może, iż praca ich na rzecz utrwalenia pokoju była bardzo wysoko ceniona. Kończąc, wyraziła swą wielką radość z powodu założenia organizacji przyjaciół Polski w Birmingham i złożyła założycielom Towarzystwa najserdeczniejsze życzenia powodzenia ich akcji.

TREŚĆ NUMERU

- | | |
|--|----------------------------|
| 1. Niezmienny cel | <i>A. Krosnowski</i> |
| 2. „Dom wielki jak świat“ | <i>dr Wiktor Szyryński</i> |
| 3. Drwal | <i>Jerzy Woszczyński</i> |
| 4. Pozwólmy, aby nowa kobieta ukształtowała się sama | <i>Irena Bachowa</i> |
| 5. Listy | <i>Zofia Szafran</i> |
| 6. P.S.K. w służbie łączności | <i>Józef Trocki</i> |
| 7. Ti-Ta-Ta-Ti... | <i>Janina Ojakówna</i> |
| 8. Pajęcze nici | <i>I. B.</i> |
| 9. Od ugoru do łąków | <i>Maria Wojewódzka</i> |
| 10. Żołnierzyki | * |
| 11. Służba u muz — służbą dla żołnierza | <i>Jan Druźba</i> |
| 12. Wiersze do P.S.K. | |
| a) Uśmiech na pustyni | <i>Wiktor Szyryński</i> |
| b) * * * | <i>Seweryn Ehrlich</i> |
| c) Szlakiem krzyżowców | <i>Zygmunt Łoś</i> |
| d) Junaczki | <i>Stefan Legeżyński</i> |
| 13. Polska strzecha | <i>dr Janina Pilatowa</i> |
| 14. Kobieta, która przeżyła wielkie życie | <i>Stefania Jakubowska</i> |
| 15. Kubuś ma głos | <i>Sabina Pobereźna</i> |
| 16. Listy do Redakcji | |
| 17. Kronika | |